



Zeszyty TŁUMACKIE



IV KWARTAŁ 2001

ISSN : 1426-4129

Nr 4 (24)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



Ołtarz Główny - Kościół Parafialny p.w. św. Anny w Tłumaczu

Spis treści

Życzenia – poezja świąteczna	1
I Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym	
Powrót (c.d.) – Franciszek Petrus	2
O moich latach gimnazjalnych w Tłumaczu (cz. II) – Marian Haraszkiwicz	5
Ulica Sobieskiego (dawniej Młyńska, Gorzelniana) i Plebańska w Tłumaczu (lata 30-te) – opracowali dawni mieszkańcy tych ulic	7
Mój mały Brat (cz. I) – Ks. Lesław Jeżowski	9
II Tłumacz w latach wojennych 1939-1945	
Moja odyseja wojenna – Michał Nikosiewicz	12
Pamiętnik J. A. Jakubowicza (dokończenie)	15
Ze wspomnień małopola (c.d. – V) – Tadeusz Bodniak	16
III Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża	
Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (c.d.) – Ks. Lesław Jeżowski	18
IV Z życia Tłumaczan	
Nasze strony – Danuta Tabińska-Juhasz	21
List z Izraela – III – Kornelia Szankowska	24
Lista Ofiarodawców za IV kw. 2001 r.	24
V Komunikaty, podziękowania	
Komunikaty	25
Dziękujemy autorom	25
VI Odeszli	
Antonina Sawicka, ks. Jan Lisowski, Janina Kalinowska-Milczewska	25

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta
Franciszek Borkowski
TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,
ul. Ruska 32/33, I p. Tel. 071/344-88-93.
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Redakcja techniczna:

Adres Redakcji:

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki.
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów
oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Uwaga! Cena rocznej prenumeraty ZT wynosi 20 zł.

Gloria in Excelsis Deo

Najserdeczniejsze Życzenia Świąteczne i Noworoczne
długich lat życia w szczęściu i zdrowiu
Drogiej Rodzinie Tłumackiej,
Szanownym Czytelnikom
i naszym Sympatykom

składają
Zarząd i Redakcja



Lwów - widok na kościół Dominikanów

Adam Mickiewicz

* * * *

Grom, błyskawica!
Stań się, stało,
Matką dziewicą,
Bóg ciało!

Anioł

... Pastuszkowie postrzegli
I do Betlejem biegli;
Pierwsi wieczną mądrość witali
Wieczną władzę uznali;
Biedni, prości i mali.

Włodzimierz Lewik

List wigilijny od Matki

...Myśl o nas, Synku..., wspomnij przy wieczerzy...
W liście mym znajdziesz okruchy opłatka -
Wiem, że nam wrócisz... Ten, co "w żłobie leży",
Czuwa nad nami... Całuje Cię... Matka.

Teofil Lenartowicz

* * *

... Miód tajony i opłatek -
Wtedy sobie dosich latek
Powinszujem, i niezmiennej
Wesołości i swobody,
Nade wszystko świętej zgody.

Cyprian Kamil Norwid

Czemu nie w chórze?

Śpiewają wciąż wybrani
U żłobku, gdzie jest B ó g
Lecz milczą zadyszani,
Wbiegając w próg ...

* * *

Z królewskim prawem, bez miejsca w Ojczyźnie,
Syn Boży między zwierzęty się rodzi.
O! jakże rola uprawiona żyźnie
Pokorą ...

* * * *

... Jako w kościele,
Choć ludzi wiele,
Cisza pobożna wieje;
Oczy się rosza,
Dusze się wznoszą,
Płyną w serca nadzieje.
Lulaj Dziecino,
Lulaj ptaszyno,
Nasze umiłowanie;
Gdy się rozbudzi
W tej rzeszy ludzi,
Zbawienie nam się stanie ...

Jan Kasprówic

Matko Boża z Betlejem

Matko Boża z Betlejem
Nad Dzieciątkiem pochylona
Każde dziecko polskiej ziemi
W swe matczyne weź ramiona.

Przy wigilijnym stole,
Łamiąc opłatek święty,
Pomnijcie, że dzień ten radosny
W miłości jest poczęty.

Że jak mówi wam wszystkim
Dawne, odwieczne orędzie,
Z pierwszą na niebie gwiazdą
Bóg w Waszym domu zasiędzie

Stanisław Ciesielczuk

Wigilia

Pod serwetą wonna warstwa siana,
Na serwecie opłatków książeczka -
Znów cię widzę, chałupo kochana,
Chłopska chato, znana mi od dziecka...

Stanisław Miłaszewski

Wilia

... Gdy z nieba płatki śniegu lecą, jak opłatki,
Gdy mróz na oknach białe zasadza choiny,
Niechaj każdy dom polski wspomni sercem matki
Nieobecne, spóźnione, zabłąkane syny.
Gdy w snopku wigilijnym kłos o kłos zadzwoni,
Ilekróż pod obrusem zaszeleści siano,
Baczymy na puste miejsce, gdzie mieli się - oni,
Baczymy, by nieobecnych nie zaniedbywano...

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Powrót (c.d.)

Franciszek Petrus

– Słuchaj Lolo! – co zrobimy z wakacjami? – odezwał się Kowal pewnego dnia w czasie zwykłej włóczęgi nad Tłumaczykiem.

– A co? Złe ci w Tłumaczu Janku – odpowiedział zagadnięty. Jeśli ci się tu nudzi, to może popłyniemy Tłumaczykiem do Dniestru na Niżniów, Zaleszczyki, a potem hen (!) ku Morzu Czarnemu, wiesz tam na stepy Akermanu.

– Ciebie trzymają się dowcipy, a ja myślę całkiem poważnie.

– Widziałeś wczoraj na horyzoncie zarysy Karpat, gdy wracaliśmy z Kahawy?

– Widziałem, no i co z tego?

– Gdyby tak można zrobić wycieczkę do Jaremcza, do Worochty, zobaczyć z bliska góry. Co by to była za wspaniała rzecz – ciągnął Janek. Mam jeszcze siedem koron z tych lekcji, gdybyśmy jeszcze skądś dostali trochę pieniędzy, można by zaryzykować. Możemy pójść pieszo do Nadwórnej – wiesz – na Hryniowce, Tarnowicę Polną i Leśną – to wszystkiego sześć mil. W Nadwórnej mam krewnych, u których będzie można zatrzymać się, a potem moglibyśmy już wsiąść do pociągu. No, co ty na to?

Lolo westchnął i zamyślił się głęboko.

– Ja halerza z domu nie dostanę. Dość wypompowałem ojca przez dwa lata na tę pierwszą klasę – zakończył smętnie.

– Mam pewien pomysł – podchwycił po chwili milczenia Kowal.

– Gadaj Janku, co takiego? – naglił Lolo.

– Dawniej jeszcze przed gimnazjum braliśmy z ojcem od Sammlera akordową robotę. Robiliśmy zawiasy i haki do drzwi, podkowy i młotki do klepania kos. Licho za to płacono, ale wiesz co – można by teraz spróbować. Zdaje się, że obecnie ojciec ma niewiele roboty w kuźni, więc porozmawiam z nim, może da się namówić. Zresztą niektóre z tych rzeczy ja sam potrafię robić. Tyle mi pozostało z tego czasu. Musielibyśmy Lolo ciężko poharować z jakie trzy tygodnie.

– Janku! Jesteś genialny! – zawołał szczerze rozradowany Lolo.

– Wiesz – już widzę nas obu z plecakami w bergsztajgerach, jak zdobywamy Czarnohorę, Ardzeluzę, Horwerłę i Chomiak.

– Bez dowcipów – przyjacielu Sternberg – mówił Kowal naśladowując głos profesora Lipowana, gładząc przy tym, podpatrzonym u tegoż ruchem, brodę. Na Ardzeluzę – zdaje się – jedzie jakaś leśna kolejka i pewnie nie będzie potrzeby jej zdobywać.

– Tak jest panie profesorze, ma pan rację i to zawsze, nawet wtedy, gdy pan jej nie ma – przekomarzał się Lolo.

Poszli z łąki, po wykapaniu się, wprost do kuźni.

Po drodze Lolo kupił dziesięć „egipskich” papierosów.

– Będzie to na rozpoczęcie rozmowy – mówił uśmiechając się chytrze. Co do reszty liczę Janku na ciebie. Przecież jesteś – zaraz – jak tam? Aha! – „chlubnie uzdolniony”. Zobaczmy co to warte.

– A ty jesteś świntuch – odciął się Janek.

Stary Kowal był rad, że może na chwilę przerwać pracę i pogawędzić z młodymi. Lubił tych młodych chłopaków i chętnie z nimi rozmawiał. Opowiadał im o swej służbie w jednym z pułków ułanów w Sądowej Wiszni – o wielkich cesarskich manewrach i w ogóle o życiu wojskowym. Chłopcy słuchali go chętnie.

Dziś jednak, po zapaleniu papierosa przez Kowala i Lola, rozmowa zesłała na inny temat.

Wysłuchawszy chłopców zaakceptował ich plan z tym, że zaraz jutro udadzą się do Sammlera i dwóch dużych sklepów z żelazem i spróbuje wziąć zamówienia i materiał, no i będzie można zacząć.

– Janek sobie przypomniał trochę tę robotę – nadmienił patrząc przy tym na syna.

Wczesnym rankiem ruszyli we trójkę po zamówienia, a w godzinę później, już chłopcy ubrani w stare, przechodzone ubrania przewozili małym wózkiem sztaby żelaza, koks i smołę do lakierowania zawiasów – do kuźni.

W południe byli z tym wszystkim gotowi i zaraz po obiedzie wzięli się do roboty. Z początku szło to dość ciężko, ale w następnym dniu robota posuwała się raźnie naprzód.

Lolo obsługiwał miech i powlekał smołą gorące zawiasy, które wychodziły szybko spod młotów starego i młodego Kowala. Niebawem stopy zawiasów, haków i innych zamówionych rzeczy zalegały kuźnię.

Zaczęto odstawiać to w czasie przerwy obiadowej do sklepów, a po upływie każdego tygodnia ojciec Kowala dokonywał ze sklepami rozliczeń i znowu zwożono materiał do wykonania nowych zamówień.

Chłopcy doskonale zgadzali się ze sobą, a przyjaźń ich stawała się coraz głębsza i coraz serdeczniejsza.

Rodzice Lola byli zadowoleni, że syn ich zajął się czymś i że tak wytrwale pracuje. Mieli ponadto zaufanie do Kowala.

Pod koniec lipca, spaleni jak Cyganie, ze stwardniałą skórą na dłoniach i mocno tą ciężką pracą utrudzeni zakończyli przyjęte zamówienia.

Zarobione pieniądze powinny im być wystarczyć na zrealizowanie zamierzonej wycieczki w Karpaty.

Odziani w swoje mundurki skautowskie, zaopatrzeni w plecaki, koce, ciepłą bieliznę i płaszcze ruszyli w góry. Zaoszczędzone pieniądze pozwoliły im odbyć zaplanowaną podróż koleją.

Pierwszy postój wypadł im w Nadwórnej, gdzie Janek miał aż trzech stryjów. Goszczono ich serdecznie i umożliwiono zwiedzenie najbliższych okolic. Po dwudniowym pobycie ruszyli dalej z zamiarem zatrzymania się w Jaremczu.

Z okien pociągu podziwiali wspaniałe wiadukt pod Lubliżnią, zbudowany z potężnych bloków granitu, zawieszony wprost w powietrzu. Patrząc w dół dostawało się zawrotu głowy.

Z Jaremcza po zwiedzeniu Kamienia i Komory Dobosza udali się do wodospadu. W niemym zachwycie podziwiali te wspaniałe cuda przyrody, o których tyle czytali i oglądali w swych podręcznikach szkolnych.

Zapadł wieczór. Trzeba było pomyśleć o noclegu i o zjedzeniu jakiejś ciepłej strawy.

Nieśmiało udali się do samotnej zagrody huculskiej, stojącej opodal na rozległej łące, na której znajdowało się kilka starannie ustawionych stogów siana.

Po przejściu przełazu weszli z pewnym niepokojem do kurnej chaty. Na ścianie wisiała mała lampa naftowa rzucając na izbę słabe światło.

Z ławy za stołem podniósł się starszy hucul, przypatrując się z zaciekawieniem przybyłym.

– Dobry wieczór gospodarzu – zagadnął po rusku Janek.

– Dobry wieczór – odpowiedział hucul.

– Czy moglibyśmy u was czegoś gorącego napić się i gdzieś na sianie przenocować? Jesteśmy tu na wyścieczce.

– Dobrze, dobrze panicze, siadajcie, zaraz coś zrobimy.

Zza stołu wyszła starsza kobieta i zapytała:

– Może kulesza z kwaśnym mlekiem lub gorącym słodkim?

– Dobrze pani – spróbujemy jednego i drugiego, bo bardzo jesteśmy głodni.

W toku przygotowywania kolacji gospodarz zaczął wypytywać chłopców skąd pochodzą, dokąd udają się, co słycać tam na dołach. Okazało się, że służył w Stanisławowie w 58 pułku piechoty i że znał z manewrów Tłumacz.

Teraz ton zaczął nadawać rozmowie Lolo.

Janek chwilami dusił się ze śmiechu, kiedy Lolo kalecząc niemilosiernie język ruski rozwijał swą bujną wymowę, a gospodarz nie chcąc mu pozostać dłużnym i chcąc sprawić chłopcom przyjemność, zaczął mówić po polsku, wplatając w to poprzekręcane słowa ruskie.

Słowem rozmowa szła żwawo i wesoło, a niebawem ze wszystkich zakątków izby zaczęły wysuwać się starsze i młodsze dzieci gospodarzy – dwie dziewczynki i trzech chłopców – przysłuchując się z zainteresowaniem rozmowie i oglądając z zaciekawieniem przybyłych obcych chłopaków.

Po kolacji udali się wraz z gospodarzem do stogu siana, na który weszli po przystawionej drabinie, posłali otrzymane od gospodyni prześcieradło ze zgrzebnego płótna i rozłożyli się wygodnie do spania na pachnącym sianie.

– Co powiesz na to? – zapytał Janek. Ludzie gościnni i życzliwi. Przecież nie wiedzą, czy wczesnym rankiem stąd nie czmychniemy.

– Widocznie takie tu panują zwyczaje, nieskażone jeszcze naszą cywilizacją.

Lolo przechylił się z stogu i zaczął wciągać przystawioną drabinę na górę.

– Co ty robisz, czyś oszalał?

– Widzisz kochasiu, a nuż zachciało by się komuś w nocy nas odwiedzić. Bez drabiny nie da rady. Ponadto obaj mamy twój nóż skautowski, no i mój scyzoryk – więc w razie czego...

– Ach! Ty wojowniku i bohaterze – śnią ci się czerwonoskórzy Indianie.

Zaczęli się obaj śmiać, ale jednak głowy odsuwali, na wszelki wypadek, starannie od brzegu stogu.

– Słuchaj Lolu – przecież ci huculi to Rusini – prawda? Wiedzą dobrze, że my jesteśmy Polakami i zapewne uważają nas – jak to się mówi – za pańskich synów i patrz jak nas przyjęli. Wiesz, o czym w związku z tym myślę – ciągnął dalej Janek – dlaczego profesor Wyrwid tak brutalnie traktuje chociażby tego naszego kolegę Horynia. Zauważyłeś chyba jak ten biedaczysko wysiła się, by jako tako mówić po polsku, a Wyrwid wprost szaleje. Czyha po prostu, by go na czymś przyłapać. W czasie jednej z lekcji wyrwał mu garść włosów z głowy. Słuchaj Lolu! Czy to jest dopuszczalne, czy to wolno tak robić?

– Widzisz, tu nie tylko o to chodzi. Ta sprawa sięga dalej. Czy sądzisz, że nas Żydów bardzo lubią, czy nie widzisz tych natrzasań się i lekkich szykan. Z nami nieco inaczej postępują. Nas rozkładają dwójkami. Czy nie widzisz, ilu już naszych odpadło.

– Ale o co właściwie chodzi? – Zapytał Janek

– Jest to bezwzględna walka. Chodzi o to, by gimnazjum za wszelką cenę miało zdecydowanie polskie oblicze i stąd to całe postępowanie niektórych profesorów i te przeróżne szykany.

– Przecież między nami w klasie nie było wypadku, by powstała jakaś kwestia, jakieś zadrażnienie na temat czy ktoś jest Polakiem, Rusinem, czy też Żydem – mówił Janek. Po prostu ta sprawa wśród nas nie istnieje.

– Na razie – podchwycił Lolo. Zobaczysz, niedługo oni i to potrafią zmienić.

– Lolu, chodzi właśnie o to, by nie dać się w to wciągnąć. Słuchaj Lolu! A czy ty wiesz, że ksiądz Lapiński nawymyślał mi za to, że rozmawiam po rusku z naszymi kolegami.

– Widzisz Janku, to jest właśnie ta walka, o której mówię.

– Dobrze – odpowiedział Janek – ale nawet walka, jeśli już naprawdę musi być, to powinna się opierać na jakichś uczciwych ludzkich zasadach.

– Widzisz Janku, czasem jest tak, że tego co jest złe, nie można po prostu naprawić. Można je tylko wyplenić doszczętnie, wyrwać z korzeniami i stworzyć coś lepszego. Tego widzisz oni wszyscy ci Wyrwidowie, Lipowanowie, Lapińscy i wielu innych nie zrobią. Im z tym jest dobrze, słowem uważają, że dobrze jest tak, jak jest. Weź z drugiej strony takiego profesora jak Waga. Przecież ten góral, to człowiek o złotym sercu, wymaga wiele, ale jest bardzo ludzki i taktowny. A profesorzy Chart i Herjadin? To naprawdę przezacni ludzie, po prostu nieraz człowiek uczy się tej matematyki i historii naturalnej – nie tylko dlatego by coś umieć, ale też i dlatego, by takim zacnym i porządnym ludziom nie sprawić przykrości.

Kowal rozmyślał głęboko nad tym co przed chwilą usłyszał od swego przyjaciela.

– Wiesz Lolu – odezwał się znowu po pewnym czasie – kiedy ksiądz Lapiński robił mi wymówki o to, że rozmawiam z kolegami po rusku, zapytałem grzecznie dlaczego i po co uczymy się w takim razie języka ruskiego, no i zauważyłem, że przecież ci nasi koledzy rozmawiają z nami też i po polsku. Powiedziałem również, że u nas w domu mówi się po polsku i po rusku i nie ma o to wojny.

– No i co? – Zapytał Lolo.

– Był oburzony. Zemścił się dając mi przy końcu roku tylko dobrą notę z religii.

– No widzisz jak to jest – powiedział Lolo. Wszędzie ta walka, wszędzie to samo. Popatrz, jak ciężko pracuje twój ojciec i co ma z tego? Czy może pozwolić sobie na to, by kształcić jeszcze któreś ze swych dzieci? A mój ojciec, który jest nauczycielem w szkole Barona Hirsza – co ma ze swej pracy?

Ale popatrz jak żyje się naszym kupcom w mieście, naszym ziemianom, naszym adwokatom. Każdy z nich ma kamienicę, luksusowe mieszkanie, wyjeżdżają nawet do Karlsbadu na kurację, a chłopci nasi procesują się zajadle i napędzają im moc pieniędzy do ich kieszeni.

A jak wygląda to biedne nasze miasteczko – brudne, odrapane, nigdy nie zamiecione. Ulice toną wieczorami i nocą w ciemnościach, w czasie słoty – trudno wprost przebrnąć przez błoto. I pomyśleć, że są w mieście inteligentni ludzie, że jest jakaś rada miejska, burmistrz, są lekarze itd.

Wszyscy pasożytują na tej ciemności i na tym bezgranicznym marazmie.

– Poczekaj Lolu! Tak wszystko jest, tak pewnie i dawniej było, ale co zrobić, by tak nie było jak jest. Nieraz sam o tym myślałem i zastanawiałem się dlaczego na przykład na początku roku nie mogłem dostać dwunastu halerzy na zeszyty szkolne i z tego powodu nie chodziłem przez dwa dni do szkoły. Zastanawiałem się często dlaczego przez większą część roku nie ma u nas chleba w domu – wierz mi Lolu, że nieraz głowa diabelnie mnie od głodu bolała i powiedz mi – jak to się dzieje, że wieczorem kładziesz się głodny spać, a rano wstajesz i już głodu nie czujesz. Dobry sposób, co?

Zawsze widzę, jak matka kraje ten kupny pszenno-razowy chleb, a my stoimy całą gromadą i czuję jak każdy z nas chciałby jakąś siłą magiczną dokonać tego, by ostrze noża bardziej wgłębiło się w smaczny chleb i by można trochę więcej dostać.

– Powiedz Lolu – czy przyjdzie taki czas, że będzie można zjeść tyle chleba ile się zechce?

– No, no – ładna rozmowa toczy się, nie ma co mówić – wtrącił Lolo – i umiął na chwilę. Myślę, że nigdzie nie ma takiej biedy, jak tu we Wschodniej Galicji. To są skutki zaborów. Nie chcieli nasi panowie i magnaci płacić podatków Polsce, to muszą teraz grubo więcej płacić Austrii i innym zaborcom, a z nimi i nasi ojcowie.

– Wiesz Janku – sądzę, że tylko jakaś potężna katastrofa w rodzaju wojny, albo jakiś wielki przewrót może to zmienić do gruntu. Tu nie pomogą żadne piękne kazania i mądre słowa, ani też tak pięknie opiewana miłość bliźniego. Stanowi to tylko parawan dla tych, którzy umieją tym tak zręcznie szermować i pędzić dostatni, pasożytniczy żywot.

Księżyc wychylił się majestatycznie zza gór, załaz swym miękkim i łagodnym światłem całą dolinę, zajrzał pod bróg i rozlał swą poświatę na rozpalonych i rozognionych obliczach młodych chłopców.

Gwiazdy mrugały przyjaźnie i zdawały się uśmiechać do cudnej górskiej nocy, do tych gór zatopionych w poważnym milczeniu.

Mleczna droga ciągnęła się świetlanym szlakiem pod kopułą wspaniałego gwiazdzonego nieba.

Poza tym panowała niczym nie zamacona cisza.

– Lolu! – szepnął Kowal – czy już śpisz? Odpowiedział mu długi, głęboki oddech przyjaciela. Spał i być może śnił o tym przyszłym lepszym świecie, bez obłudy i udręki.

Janek wychylił się ostrożnie spod brogu. Patrzył upojony widokiem wygwieżdzonego nieba i majestatem pogrążonych w głębokiej ciszy gór.

Jak piękny jest świat – myślał – i jak wspaniała harmonia w nim panuje. Czym są te troski i te zmartwienia wobec majestatu wszechświata. A jednak ludzie, którzy ten świat zamieszkują, niestety nie są aniołami – pomyślał w duchu.

Życie to twarda i trudna rzecz.

Odwrócił się i spojrzął na oświetloną światłem księżycy twarz przyjaciela.

Jak mu serdecznie zazdrościł tej wiedzy o sprawach życia ludzkiego. Lubił go, uwielbiał niemal za to, że umiał zawsze odgadnąć i tak dosadnie i zrozumiale określić sens i przyczyny ważnych problemów życiowych. Jakkolwiek po rozmowach tych Janek zawsze doznawał dziwnego chaosu i zamieszania w swych myślach, to jednak chętnie słuchał swego przyjaciela i gorąco z nim dyskutował poruszane sprawy.

Dziś owładnął nim dziwny niepokój. Stawiał sobie pytanie, kto może dokonać tego, by było inaczej. Czy rzeczywiście może to stać się tylko przez wojnę lub jakiś wielki przewrót.

Zresztą czy już nie było w przeszłości strasznych wojen i przewrotów i co dały one ludzkości? A jednak – myślał dalej Janek – ludzkość nieustannie kroczy naprzód. Cierpienia i zło nie są w stanie wstrzymać tego żmudnego co prawda i ciężkiego pochodzenia ku światłości, ku postępowi. Prędzej czy później wyniknie coś, co wyzwoli w ludziach najszlachetniejsze uczucia i wówczas wszystko zmieni się do gruntu.

Pełen tych nieskrystalizowanych myśli i miotany wątpliwościami Kowal wyciągnął się na pachnącym sianie i po chwili, pomimo iż bronił się przed rojem natarczywych i niespokojnych myśli, zasnął snem twardym i kojącym.

Musieli spać bardzo smacznie, gdyż gospodarz, który wczesnym rankiem przybył do brogu z garnkiem parującego, gorącego mleka i z razowym chlebem na pięknie rzeźbionej drewnianej tacy, musiał dość długo wołać swoich gości zanim się obudzili.

Zaniepokoiło go też zniknięcie drabiny, ale widząc jak chłopcy spuszcza ją z brogu uspokoił się i odechnął z ulgą.

Chłopcy byli trochę speszeni.

– To dla ostrożności panie gospodarzu – powiedział Lolo – to przed nieproszonymi gośćmi.

Hucuł szybko zaprzeczył skinieniem głowy.

– U nas to się nie zdarza panicznie – powiedział poważnie.

Po śniadaniu chłopcy zaczęli przygotowywać się do dalszej drogi.

Gospodarz zapytany o należność, uśmiechnął się i powiedział, że zgłosi się po nią w Tłumaczu u nich w domu przy okazji, gdy wyjedzie w tamte strony po zboże.

Serdecznie mu podziękowali, po czym po zapisaniu sobie adresów pożegnali się z całą rodziną i ruszyli dalej na zwiedzanie gór.

Dnie mijały szybko, a oglądane wspaniałe widoki górskie i zwiedzane szczyty jak Chomiak, Pop Iwan, Czarnohora, Howerla i inne pozostawiały po sobie niezatarte wrażenia.

Przez kilka dni zatrzymali się w Worochcie, skąd pieszo udali się poprzez Żabie – największą wieś na

Huculszczyźnie – do Kosowa i Kołomyi, a stąd po blisko miesięcznym pobycie w górach, ruszyli już koleją do Stanisławowa i Tłumacza oczarowani pięknem krajobrazów górskich, gościnnością huculów i ich oryginalnymi strojami.

Rodzice nie poznawali ich wprost, tak byli ogorzali od słońca i tak w czasie pobytu w górach zmęczniali.

Oplaciło się trochę poharować w kuźni po to, by mieć taką piękną wycieczkę – mówił Lolo w kilka dni po powrocie.

Przyrzekli sobie obaj, że każdego roku w czasie wakacji będą zawsze, chociaż kilka dni, spędzać w górach.

(c.d.n.)

O moich latach gimnazjalnych w Tłumaczu (cz. II)

Marian Haraszkiewicz

W bursie mieszkał również uczeń Stefan Spirydion Brzezicki. Miał widoczne skrzywienie kręgosłupa, był niski, mówił z trudem, z przytankami. Był również atakowany przez prof. Mendralę za „stękanie”, ale zawsze miał oceny dobre. Pochodził, o ile pamiętam, z Ottynii. Świetnie opowiadał bajki wieczorami w sypialni, gdy już leżeliśmy w łóżkach. Brzezicki – wtedy najczęściej używaliśmy nazwisk, a nie imion – opowiadał bajki wschodnie, pełne czarów – ognistych rumaków żywiących się rozżarzonymi węglami i pojonych płomieniami... W jego opowiadaniach było dużo własnych przeżyć, ale i twórczej inwencji. Pewnego dnia opowiadał, że jego ojciec jest bardzo dobry. Ojcowie nasi zachowywali „dystans” wobec dzieci, tego wymagał autorytet ojcowski i posłuszeństwo dzieci wobec rodziców. Dzieci bardzo rzadko rozmawiały o swoich rodzicach. Stwierdzenie Brzezickiego, że jego ojciec jest dobry, bardzo dobry – zmuszało do zastanowienia. Zaczęłam obserwować Brzezickich – ojca i syna. Ojciec przyjeżdżał do syna najczęściej w dni targowe, była to dosyć skomplikowana podróż – furmankami, kolejowe połączenie było niewygodne, odległość powyżej 20 km. Był to wysoki, szczupły, z siwą brodą, łagodnie mówiący mężczyzna i przywoził synowi spore zapasy chleba. Więcej chleba, chyba całe wypieki domowe, otrzymywali tylko Sokolowscy z Oleszy. Byli uczniami starszych klas trzeciej i szóstej klasy gimnazjalnej.

Ulica Koliniecka nie miała wtedy chodników, a droga była wyboista i bardzo błotnista. Kaloszy nie mieliśmy. Obuwie skórzane – wyjątkowo dwie pary, było tak oblepione błotem tłumackim, że czyszczenie, przeważnie czemidłem, tzw. „szuwaksem” rozcieńczonym wodą, pochłaniało nam chyba godzinę czasu dziennie. Pantofli domowych w bursie nie mieliśmy. Przy ul. Kolinieckiej nie było wiele domów przed bursą. Ulica Koliniecka zaczynała się w pobliżu parku miejskiego i domu p.p. Tuzinkiewiczów. Po prawej stronie ul. Kolinieckiej była gorzelnia i zabudowania dworskie, kilka domów parterowych z dachami krytymi blachą lub gontami. Po stronie lewej kilka skromniejszych domów, a za bursą były przeważnie domki kryte słomą, budynki gospodarcze, stajnie, stodoły. Pożary zdarzały się tam często, raz spłonęło kilkanaście gospodarstw, ale odbudowa szła zadziwiająco szybko. Częstym widokiem na ul. Kolinieckiej w r. 1918/20 były pogrzeby. Panowała wtedy epidemia tyfusu i „hiszpanka”. Bursa nie miała lekarza, opieka w obecnej formie nie istniała. Prof. Mendrala umiał jednak zorganizować w bursie pierwszą pomoc, sam oglądał chłopaków, mierzył temperaturę, decydował o pozostaniu w bursie i leżeniu w łóżku. Leczył również sam aplikując nam „mikrocyt”. Był to preparat podobno otrzymywany ubocznie przy suchej destylacji drewna bukowego, uważany wtedy za antidotum przeciw infekcjom. Poza tym walczył z wszawicą, która wtedy nie była rzadkością i nie omijała bursaków. Była to sprawa naprawdę ważna i trudna. Nie mieliśmy łaźni ani ciepłej wody, bieliznę dowożono nam z domów. Bielizna była przeważnie z bawelnianej surówki tzw. „kalikotu”. Nierzadko koszule były szyte z kalikotowych worków wojskowych austriackich, a spodnie z namiotów rosyjskich, tzw. „pałatek”. Walka z wszawicą była wtedy bardzo trudna. Prof. Mendrala sam

przeglądał wszystkich uczniów, wyławiał zawszawionych, którzy przeważnie sami nie wiedzieli, że mają wszy. Zmuszał do wzajemnego kontrolowania się. Dawało to dobre wyniki, bo opanował wszawicę i zachorowania. Z chorób, które pamiętam, to świerzp, leczony jakąś czarną maścią, smarowanie całego chorego i zawijanie w prześcieradła. Prof. Mendrala miał jakiś szósty zmysł ojcowsko-gospodarski – generalski i kaprański. Utrzymywał porządek i sprawiedliwy podział skromnych racji żywnościowych, nauczał kulturalnego zachowania się przy stołach, umiał wydawać polecenie i kontrolować wykonanie go. Zdobył dla nas książeczki „Zasady przyzwoitego zachowania się” i doprowadził do przeczytania ich. W bursie grało się w szachy i warcaby, bursacy chodzili na gimnazjalne zabawy taneczne w budynku szkoły. W bursie śpiewało się bursowskie piosenki i inne („Tam na błoni błyszczą kwiecie”). W gimnazjum był chór, a później orkiestra. Dyrektor Mendrala był impulsywny – osobisty kontakt z uczniem mógł być poparty i rękoczynami, ale prowadzenie i kierowanie młodzieżą miał we krwi, wrodzone. Mówił krótko i dosadnie, co jest złe, a co dobre, umiał ustawić do każdej pracy, do uczenia się i do pracy w ogrodzie, do czyszczenia ustępu i sprzątania budynku. Każda z tych prac stawała się u niego jakąś naturalną koniecznością, bez wyczynowości i czekania na laury. Umiał cenić wykonanie prac i chyba każdemu z nas stąd pozostało poszanowanie tego, co się zrobiło. Osobiście miałem z prof. Mendralą dwie przeprawy: wylepiłem na kwiatowym klombie te roślinki, które miały tam rosnać, a pozostawiłem chwasty – był on tak zmartwiony tym faktem, że aż zapomniał mnie skrzyknąć. Druga sprawa zakończyła się gorzej, otrzymałem oficjalnie bicie pasem na stołeczku. A było to tak: ze Świąt Wielkanocnych przywiozłem z Czamołoziec jeża, który przez kilka tygodni mieszkał z nami w bursie, potem był wypuszczony czy wyrzucony do ogrodu, ale wieczorami przychodził do nas, na salę, gdzie były kufarki z chlebem i innymi skarbami. Jeż chodził po schodach, a krytycznego dnia prof. Mendrala potknął się o jeża i zjechał z kilku stopni. A potem stało się... Pierwszą klasę gimnazjum ukończyłem mieszkając w bursie, przygotowałem się właśnie do wyjazdu do domu i wtedy po raz pierwszy w życiu spotkałem się z faktem kradzieży... zginęły mi książki. Na miejscu, gdzie je położyłem – nie było ich. Przeszukiwałem wszystkie kąty, nie rozumiałem tego, co to kradzież, nie wyobrażałem sobie, żebym ja zabrał komuś jego książki bez jego wiedzy. Tak byłem przejęty tą stratą, że gdy dotarłem do domu, moja Matka uznała mnie za chorego. Był rok 1920. „PKP” – ten symbol oznaczał wtedy, tak samo jak dzisiaj, Polskie Koleje Państwowe. Pewnego dnia Ojciec po powrocie z Tłumacza pyta się Mamy, czy wie, co to znaczy PKP? Matka odpowiada poprawnie, ale Ojciec wyjaśnia, że oznacza to „pakuj kufry prędko” i że takie dowcipy krążą po Tłumaczu. Istotnie, za kilka dni zaczęło się nasze pakowanie. Ponieważ w tych czasach umeblowanie było raczej skromne, pakowanie sprowadzało się do ładowania kilku kufrów, które bez trudu mieściły się na chłopskiej furmance – która w tym czasie była jedynym środkiem lokomocji towarowej i osobowej. W Czamołozcach kolei ani autobusów nie było, drogi były błotniste. W okresie wiosennych roztopów i

jesiennej sloty wozy chłopskie grzęzły w błocie po osie. Z tych powodów Ojciec zdecydował, że wyjedziemy do Tłumacza, skąd albo pojedziemy dalej, albo wrócimy do Czarnołoziec, zależnie od sytuacji na froncie polsko-bolszewickim. Pojechaliśmy dalej – ewakuacyjnym pociągiem z Tłumacza i dojechaliśmy do Skołyszyna w jasielskim powiecie. Po kilkunastu dniach Ojciec znalazł nam mieszkanie u bogatego gospodarza, p. Gubernata w Siepietnicy koło Biecza. Zanosilo się na to, że do II kl. gimnazjum będę chodził w Jaśle. Byłem już zapisany do gimnazjum im. Stanisława Staszica, chodziłem na lekcje, ale niebawem zmieniła się sytuacja na froncie. Rodzice wracali do pracy w szkole w Czarnołozcach, brat Tadeusz przygotowywał się do egzaminu wstępnego do gimnazjum, a ja wyjechałem do Tłumacza i poszedłem do II kl. gimnazjum. Mam teraz granatową rogatywkę ze sztywnym dnem, z lakierowanym paskiem i daszkiem okutym blachą. W Tłumaczu odnawiam dawne znajomości, poznaję nowych kolegów i nauczycieli. Mieszkam teraz na stacji przy ulicy Młyńskiej (Gorzelnianej) u p. Stefanii Dubickiej. Zaczyna się tu nowy okres mojego życia. Nie głoduję, p. Stefania umiała stworzyć dobre warunki życia. Miała jedynego syna Mariana – Niuśka, ucznia kl. VI gimnazjum. Byłem na prawach domownika, jak drugi syn. Nusiek był moim wielkim, pierwszym wychowawcą. Był mądrym, utalentowanym chłopcem. Po mistrzowsku rysował – chociaż był samoukiem. Narysował ołówkiem mój portret, który uznałem za bardzo udany. Portret ten straciłem, nie pamiętam już, w jakich okolicznościach, ale do dzisiaj czuję żal po tej stracie. Nusiek był urodzonym artystą, czytywał mi lub dawał do przeczytania „Trylogię” Sienkiewicza. Czytanie pod jego kierunkiem było wspaniałą lekcją języka polskiego. Oczywiście, było w tym i emocjonalne ustosunkowanie się do fabuły, ale jego obraz Sienkiewiczowskiej powieści był rysunkiem grafika-malarza. W gimnazjum mieliśmy mało czasu wolnego. Zadania z języka polskiego, niemieckiego, matematyki pochłaniały dużo czasu. Ponadto lektura domowa zajmowała 3-5 godzin. Nusiek czytał wieczorem, kiedy to już zasypiałem, w ciągu dnia niewiele było czasu na rozmowy. Odbływały się one przeważnie przy kolacji, które p. Stefania organizowała wspólnie dla nas obu. Udział p. Stefanii był w tych rozmowach dyskretny, ale kierujący. Nie narzucała nam tematów, nie stawiała wielu pytań, nie gderwała, nie pouczała... Sąsiadami moimi byli Kazimierz Biliński, Marian Rolewicz, Kasperski, Daca, z młodszych Kaczorowski. Na stawiskach grywaliśmy w pikę. Było to spokojne życie 12-lątka, obłożone wprawdzie obowiązkami szkolnymi, ale był to pierwszy okres spokojnego spojrzenia na świat, bardzo różny od napięcia nerwowego towarzyszącego życiu w bursie. Nie było krzyku, który, jak to dziś oceniam, nie tylko denerwuje, ale i otepia.

Klasa druga minęła, a wakacje w Czarnołozcach były teraz monotonne. Żyliśmy z bratem w otoczeniu wiejskich dzieci, które miały wiele obowiązków gospodarskich i nie miały czasu na zabawy. Nasz Ojciec był zapalonym wędkarzem, a rzeka Worona przepływająca przez Czarnołozice bardzo rybna, podobno najbardziej rybna w Małopolsce Wsch. We trójkę płądrowaliśmy po wszystkich łowiskach, ale złowione ryby jadałem głównie ja, a wiele złowionych ryb dostawali sąsiedzi. Do mnie należało skrobanie okoni, które mają bardzo mocno trzymającą się łuskę. Mama dostawała już ryby gotowe do smażenia. Pomimo niektórych atrakcji życia w Czarnołozcach, z radością oczekiwałem początku roku szkolnego i powrotu do gimnazjum. Tymczasem do szkoły w Czarnołozcach został przydzielony nowy nauczyciel, który zrezygnował ze studiów teologicznych w obrządku grecko-katolickim i zamierzał się ożenić. Nasi Rodzice doszli z nim do porozumienia w sprawie uczenia nas w domu. Do Tłumacza nie pojechaliśmy i zaczęły się lekcje w domu, które miały zastąpić naukę w gimnazjum. Brat przebrał I półrocze I kl. gimnazjum, a ja I półrocze III kl. gimnazjum. Lekcje te zmuszały nas do pracy, bo nauczyciel umiał podać materiał i sprawdzić wyniki nauczania. Pół roku nauki mojej z p. Aleksym Kuch-

nijem – bo tak się nauczyciel nazywał – ustawiły dobrze moją łacinę, głównie gramatykę oraz matematykę, początki algebry. Egzamin półroczny zdawałem w gimnazjum tłumackim razem z bratem. Zdalem go dobrze, brat również. W klasie III w drugim półroczu byłem bardzo dobrym uczniem, chociaż upragnionego „chlubnie uzdolniony” nie otrzymałem. Na moim świadectwie niespodziewanie dla mnie znalazłem dwie noty „dostateczne” od prof. Hrapkowicza: z przyrody i z rysunków. W drugim półroczu klasy III (1921/22) mieszkaliśmy z bratem w bursie przy ul. Kolinieckiej, gdzie warunki nadal były ciężkie i nerwowe, a jedynym odprężeniem były wieczorne, między kolacją a modlitwą, spacerzy nad Tłumaczykiem z dala od bursy. Było to niedaleko, ale tam czuliśmy się wolni i bezpieczni, tam wypalaliśmy nasze pierwsze papierosy, które też nazywały się „Sportami”. Były też papierosy ciensze, tzw. „damki” i to było coś w rodzaju „fajki pokoju” – 13-latki paliły razem i to było atrakcją. Już dużo wcześniej, w domu próbowałem palić sam, ale to nie stanowiło takiej atrakcji. Ojciec palił dużo i tytoniu nie zamykał. Wydaje mi się, że w wieku lat 13, już miałem własny kościec, własny osąd, odpomość na zmęczenie, umiałem nie załamywać się, gdy byłem głodny. Zaczynałem mieć wolę obok chęci. W uformowaniu woli wiele zawdzięczam ks. prof. Janowi Podczerwieńskiemu, który w nauczaniu religii eksponował wielkie znaczenie woli w życiu człowieka. Jego zalecanie kształcenia woli przez odmawianie sobie czegoś przemawiało mi wtedy do przekonania. Dalsze lata w gimnazjum wypełniała mi nauka, którą rzadko uważałem za mądrą i potrzebną i która tylko niekiedy budziła zainteresowanie. Pewne odprężenie stanowiła lektura. Prof. Marian Mierzwiński nie tylko zorganizował i dobrze zaopatrzył biblioteczkę szkolną, ale próbował też organizować czytelnictwo. Polecał książki do przeczytania i prowadził tzw. „zdawanie” lektur, na które zapraszał do siebie do domu. Propagował również prowadzenie dzienniczka lektur. Były to jakby rozmowy w cztery oczy, co pozwalało przekonać się, czy uczeń czytał, jak czytał, trzeba było znać fabułę, streścić ją, było to rozszerzenie materiału szkolnego z historii literatury. W sumie było to dalekie i od problemowego ujęcia – co wtedy jeszcze nie miało uznania – i od kierowanych dyskusji w szerszym gronie uczniów i uczennic przygotowujących ich do umiejętnego wypowiedzenia się. W tych czasach szczególne znaczenie w nauczaniu miała indywidualność naszych nauczycieli, która rzutowała na nasze ustosunkowanie się do przedmiotów wykładanych przez nich. Nudziły „łacina” i „greka” prof. Halkiewicza, znośne były jego „kultura klasyczna” i „godzina wychowawcza”. Nudziła faktograficzna „historia” prof. dr. S. Eilego – przez długi okres mego życia nie mogłem zrozumieć, jak można „historię” nazywać „magistra vitae”. „Historia” prof. Eilego nie mogła uczyć. Inną była filologia prof. St. Dąbka – była ona chyba znośnym dodatkiem do jego osobowości. Przy wielkiej swojej wiedzy filologicznej – zaniział swoje wymagania: uczeń łatwo zdobywał dobry stopień, nie cenil może przedmiotu, ale kochał prof. Dąbka, stąd i z jego przedmiotu coś się korzystało. Młodzież zawsze chce widzieć w swoim nauczycielu kogoś mądrego, dobrego, mocnego i życzliwego. Młodzież umie wybaczyć, ale wyczuwa, gdy nauczyciel traktuje ją niepoważnie, złośliwie. Z czasem zapomina się o tych przykrościach, ale zapomina się też nauczyciela. Pamięta się jednak człowieka-nauczyciela z powodu jego zalet. Bardzo mądre jest powiedzenie bułgarskiej misjonarki: że „trzeba dawać hinduskim dzieciom miłość i miłość”. Różne mogą być miłości: i taka prof. Mendrali i taka prof. Dąbka, ale każda miłość musi być traktowana serio i jej obiekt: człowiek. Uczniowie w stosunku do nauczycieli zachowują w pamięci dobro, którego od nich doznali, wydawanie sprawiedliwych ocen, przemyślanych zaleceń, udzielanie życzliwej i sensownej pomocy... Życie przemija w jednych i powtarza się w następnych pokoleniach. □

Ulica Sobieskiego (dawniej: Młyńska, Gorzelniana) i Plebańska w Tłumaczu (lata 30-te)

Ul. Sobieskiego

Idąc od kościoła w kierunku wschodnim na ulicę Sobieskiego i Plebańską mijamy po lewej stronie organistówkę, w której mieszkała rodzina organisty Lanera. Państwo Lanerowie mieli troje dzieci: Józję uczennicę gimnazjum tłumackiego; Marysia i Czesio byli uczniami szkoły powszechnej. Wszyscy członkowie rodziny obdarzeni byli pięknymi głosami i grali na różnych instrumentach muzycznych. Na krótko przed wojną rodzina Lanerów zamieszkała w nowym domu, na przedmieściu, za stawiskami, na stoku „Księżej Góry”.

Za domem znajdował się skład drzewny, magazyny, skup zboża i skór futerkowych, a zimą sprzedaż węgla i drewna opałowego dla mieszkańców miasta. Wszystko to należało do Sielbera.

Na skrzyżowaniu ulic Plebańskiej i Sobieskiego, w ogródku kwiatowym państwa Klementyny i Józefa Bilińskich, stał wysoki krzyż – zawsze ukwiecony. Dom państwa Bilińskich był w rozbudowie. Rodzina 6 osobowa. Dzieci: Lusja, Irka, Krysia i Czesio uczęszczały do szkoły powszechnej. Ojciec rodziny, pan Józef, był zamożnym rolnikiem, wspólnie z bratem Feliksem i sąsiadem Stanisławem Petruszem jeździli do Poznania na Międzynarodowe Targi i stamtąd przywozili bydło zarodowe, uprawiali także wielkie polacie buraków cukrowych i odwozili je do cukrowni w Horodence.

W sąsiedztwie domu państwa Bilińskich stał duży, ładny budynek mieszkalny i zabudowania gospodarcze pani Ludwikowej Bilińskiej. Lokatorem był profesor gimnazjalny pan Dąbek.

Następne zabudowania to kuźnia państwa Marii z Szydłowskich i Antoniego Petrusa. Mieli oni 7 synów i dwie córki. Służyła u nich Ukrainka o imieniu Katerina, od której dzieci uczyły się ukraińskich piosenek. Jeden z synów Franciszek, dzięki swoim zdolnościom i uporowi zdobył wyższe wykształcenie prawnicze i później piastował wysokie stanowiska w administracji państwowej. Przyjaźnił się on z proboszczem ks. Tabaczkowskim i przyjaźń ta owocowała wieloma cennymi uczynkami. Biednym, ale zdolnym dzieciom załatwiali bezpłatną naukę w gimnazjum, oczywiście przy poparciu dyrektora Bułkowskiego. Pomagali też biednym uczniom z Oknian i Oleszy.

Następny dom też Petrusów. Mieczysław przejął kuźnię po swoim ojcu, który wrócił z pierwszej wojny ranny i wkrótce zmarł. Żona Anna, z domu Popiel, była wziętą krawcową. Mieli dwóch synów Franciszka i Leszka.

Za płotem pod numerem 9 było gospodarstwo Petroneli z Radomskich i Józefa Petrusów. Józef był fachowcem młynarskim i pracował przy pytlach w młynie Spitzbacha, Petronela była krawcową. Józef zmarł w 1930 r. osierocając trzy córki. Najstarsza Stefa uczęszczała do gimnazjum, a Lusja i najmłodsza Jańcia do szkoły powszechnej. W domu tym mieszkali początkowo państwo Szydlikowie – on był pracownikiem więzienia, a następnie dwie gimnazjalistki z Jezierzan, Hela Zdanowicz i Domka Starościak.

Dalej stał stary budynek, bardzo zaniedbany, zamieszkały przez dwie rodziny żydowskie. Było tam dużo małych dzieci. Żyd Sorger zajmował się skupem jajek. Interes prowadził z bratem. Zawsze ich podwórko zastawione było piętrowo skrzynkami wypełnionymi wiórkami, a w tych wiórkach równiutko ułożone były jajka. Czasami młodzi dowcipnisie celowali kamykami do tych skrzyń, radując się wielce z celnych strzałów.

Ostatni dom po tej stronie ulicy, tonący w zieleni drzew, należał do państwa Heleny i Franciszka Burczyńskich. Pan Franciszek był inspektorem sanitarnym w starostwie. Był „nadwornym” lekarzem dla mieszkańców naszej dzielnicy i dla dzieci bawiących się na stawiskach i okolicznych podwórkach. Udzielał pomocy medycznej bezinteresownie. Jako wielki społecznik działał aktywnie w amatorskim teatrze, organizował imprezy kulturalne, przedstawienia oraz bale na cele charytatywne. Dzieci państwa Burczyńskich Zygmunt i Jadwiga byli uczniami, a najmłodszy Kazio miał nianię, bo matka p. Helena była słabego zdrowia. Mieszkał z nimi służący, starszy człowiek Andrij. Z pewnością był żołnierzem z pierwszej wojny, front rzucił go do Tłumacza i tu pozostał. Bardzo lubił dzieci, a te także przepadały za nim. Trzeba zaznaczyć, że Andrij nie znał języka polskiego, ale wspaniale opowiadał bajki, ruszając sumiastymi wąsami.

I już rzeczka Tłumaczyk, przepasana dużym, nowym, drewnianym mostem. A za mostem stawiska! Obszerne – kilka hektarów łąki okolonej rzeczką. Nic to, że pasły się tam krowy, konie i gęsi z całego miasta. Był tam i stadion, i place zabaw, i trasa spacerowa, i ścieżka rowerowa, i kąpieliska, i plaże trawiaste. A zimą saneczkowanie, narciarstwo i łyżwiarstwo. Woda czysta zachęcała do wędkowania (bo karasie brały), a w czasie przyboru wody w rzece można było łowić ryby do fartuszka. Można było tam uprawiać prawie każdy rodzaj sportu. Jesienią pięknie fruwały latawce i modele latające. Stawiska były prawdziwą szkołą życia. Ile wiedzy i umiejętności tam zdobytych przydało się nam w dorosłym życiu i pozwoliło przetrwać bardzo trudne czasy! Nauczylimy się zgodnie uczestniczyć w grach zespołowych. Nasze mecze nigdy nie kończyły się bójkami, chociaż udział w rozgrywkach sportowych brała również młodzież z innych ulic naszego miasta. Organizatorami zabaw i stałymi bywalcami były dzieci, które pasły krowy i gęsi. Małe pastuszki przeżywały nieraz porażki, kiedy krowa lub gęsi przepłynęły przez rzeczkę i poszły w szkodę np. na łąkę Bilińskich lub do ogrodu Sołtyka. I pan ogrodnik się gniewał, i rodzice. Była kara: „nie wolno ci się bawić w kiczki”, bo to przecież przez zafascynowanie tą grą krowa wykorzystywała nieuwagę pastuszka i poszła w szkodę. A przecież zawodnik musiał pobiec za „ikiem” i mierzyć „palestrą” długość odbicia, i liczyć, i dodawać. A z liczeniem w wieku ośmiu czy dziesięciu lat były niejakie trudności. A jaka radość dla drużyny, kiedy udało się schwytać „iko” w locie. Równie lubiana i fascynująca była gra w palanta. Wszyscy umieliśmy się w to bawić w latach 30. Teraz uznaje się tę grę za nowość i nazywa się ją po angielsku

sku golfem. Nie wiadomo nic o tłumackich stawiskach i o naszej grze polegającej na zaganianiu piłeczki (szmacianki) do dołka. Piłka nożna nie miała dużego wzięcia, może z braku prawdziwych piłek skórzanych. Balon gumowy, podarowany przez ciocię, a kupiony na straganach z okazji odpustu Świętej Anny, szybko się niszczył.

W upalne dni lata dzieci robiły tamę (zagatę) na rzece i tam urządzały popisy w pływaniu, nurkowaniu, skokach z wierzby do wody. Moc atrakcji i doskonalenie sprawności ruchowej. Jeszcze ślizgawka z wysokiego brzegu do rzeki, ale trzeba było polewać i wygładzać gliniasty brzeg. W zabawach nie było podziału na osobne zajęcia dla dziewczynek i chłopców. Czasem tylko w czasie deszczu dziewczynki bawiły się lalkami w szalasię. Same robiły szalasy i same szyły lalki z gałganików wyproszonych u krawcowej. Chłopcy budowali zamki z gliny i kamieni (ryniaki) i celowali w żaby, których były ogromne ilości (nawet był tytuł: „żabi król”), a wszyscy biegaliśmy boso, nawet po ściernisku. Jesienią paliliśmy ogniska i piekliśmy... nie, nie kiełbasy, przecież są zdrowsze produkty: kukurydzę i ziemniaki.

Pisze koleżanka z Ameryki, że wesoło bawią się z okazji święta Halloween. Też nowość! Czy nasze dziecięce zabawy z dyniami to nie to samo? Wycinaliśmy w dyni otwory na oczy, wewnątrz zapalało się świeczkę i strach gotowy.

Nie tylko dzieci korzystały z dobrodziejstwa stawisk. Dorośli przychodzili wieczorami na spacer wzdłuż brzegów rzeki. Nawet ksiądz dr Witkowski, prefekt, przychodził z brewiarzem i siadywał na brzegu. Skupiony nad lekturą nigdy nie zauważał biegnących za nim dzieci, które chciały go po chrześcijańsku pozdrowić. Starsi przychodzili na mecze rozgrywane w niedzielę. Zimą uczyli się jazdy na nartach, żeby z góry Łokuteckiej już dobrze jeździć.

Za stawiskami, za rzeką rozlegał się piękny krajobraz: łąki i pola. Jedno pole i domek, który bielił się z daleka należał do ogrodnika Bułgara p. Koczy. To był postępowy fachowiec. Czego tam w jego ogrodzie nie było? Truskawki, pomidory, papryka – dzisiaj to żaden rarytas – ale w latach trzydziestych tylko ktoś bogaty mógł sobie na takie warzywa pozwolić. My miałyśmy to szczęście, że nasze pole było tylko za miedzą od tych wspaniałości. Zawsze pani Koczowa zapraszała nas na pyszne owoce ze swego ogrodu, by w ten sposób zabezpieczyć plony przed małymi łakomczuchami. Nie wiele to pomagało.

Wracając ze stawisk, po lewej stronie ulicy Sobieskiego znajdował się duży (jak na ówczesny Tłumacz) obiekt przemysłowy, z najwyższym kominem w mieście młyn oraz hamernia. Produkowano tam młoty, siekiery, widły i różne inne narzędzia pracy. Właściciel, Żyd Spitzbach do swojej fabryki sprowadzał fachowców z branży metalowej. Pracowali w niej Austriacy, Weberbauer z synami oraz Lagerbauer. W hamerni i w młynie pracowało dużo ludzi. Dawniej, w czasie zaboru austriackiego były tam stajnie dla koni wojskowych. Obok był ogromny magazyn zbożowy. A za magazynem zamieszkiwali Kaufmanowie, krewni Spitzbachów. Spitzbachowie mieszkali przy ulicy Sobieskiego, na terenie młyna. Dwie ich córki uczęszczały do gimnazjum.

Za domem Spitzbachów była posesja Szpinerów. Syn Icek handlował bydłem. Mieli ogromną stajnię i zawsze dużo bydła. Córki Donia i Maria ukończyły gimnazjum.

Następny dom należał do państwa Rolewiczów – specjaliści instalatorzy urządzeń elektrycznych. Mieli oni dwóch synów Mariana i Mieczysława.

W tym czasie do Tłumacza zawitała już elektryczność. Przy ulicy Sobieskiego światło elektryczne mieli Kaufmanowie, Spitzbachowie i Burczyńscy. Na ulicy świeciła jedna wysoka latarnia przed wjazdem do młyna, a zarazem przed naszym domem. Wieczorami dzieci bawiły się przy tym świetle i łąpały chrzabaszczce.

I dalej – rodzina żydowska Alterów handlująca drobiem.

Do domu Alterów, jakby przyczepiony był dom Władysława i Wandy z Kobrynowiczów Petrus. Władysław wrócił ranny z wojny i pracował w policji. Syn Tadeusz gimnazjalista, młodsi Tosiek i Bolek uczniowie szkoły powszechnej.

Następny dom z ładnym gankiem i stylowym ogrodzeniem zamieszkiwali Kobrynowiczowie. Obie córki Janina i Stanisława ukończyły seminarium nauczycielskie i pracowały w Stanisławowie, mieli także syna Nuśka.

Nie frontem, lecz bokiem do ulicy stał dom pani Ritzerowej. U tej Żydówki mieszkali Masłowie. Pana Masło sprowadził p. Tuzinkiewicz do fachowej obsługi elektrowni. Z drugiej strony domu Ritzerowej zamieszkiwała rodzina Łomnickich z Podhajec. Józefa Łomnicka wysłała za mąż za Franciszka Petrusa.

Za gęstym ogrodzeniem z krzewów bzu stał dom profesora gimnazjum Urmana, w którym mieściła się również szkoła żydowska im. Barona Hirsza. A dalej dwie nowe kamienice piętrowe Sielbera, tego od pysznych bułeczek zwanych „zilberkami”.

Tu był koniec naszej ulicy, lewą stroną łączyła się ona ogrodami z ul. Plebańską, a prawą z ul. Szlachecką i Meksykiem.

Z przeglądu widać, że ulica Sobieskiego była ulicą przemysłowo-handlową: młyn, hamernia, skład drzewny, skup jajek, skup drobiu, skup bydła, kuźnia. Jej mieszkańcy uprawiali różne zawody. Ulica ta była również ważna z uwagi na to, że łączyła wsie Słobódkę, Gonczarówkę, Okniany, Jackówkę, Oleszę z Tłumaczem.

Ulica Plebańska

Ulica Plebańska zaczynała się składem drzewnym. Po lewej stronie (idąc od kościoła) był dom bardzo biednych ludzi, chyba rotacyjny, bo ciągle zmieniali się lokatorzy.

Następne okazałe domostwo gospodarskie należało do Fajsztgierów. Żona Fajsztgiera była Czeszką, słabo mówiącą po polsku. Podobało się to dzieciom. Zaczepiały panią Fajsztgierową i przez płot pytały, co pani robi? Ona niezmiennie odpowiadała: „szyjem, perem i prasujem”, mieli syna Tośka.

Drugie bogate gospodarstwo zamieszkiwali Paraszczukowie.

Ciekawy obiekt dalej stanowiła posiadłość żydowska. Okna domu zawsze były zabite deskami. Opowiadali sąsiedzi, że matka opiekuje się chorym psychicznie dorosłym synem (wołali na niego Nuty). Syn uciekał przez okna, dlatego nie było w oknach szyb,

W głębi w sadzie mieszkały dwie rodziny Sabałowiczów. A za nim dom Wdowiaków. Dwaj dorośli synowie Antoni i Karol.

Po I wojnie znaleźli schronienie przy ulicy Plebańskiej ludzie o skośnych oczach. Żyli zgodnie. Była to liczna rodzina. Mówili słabo po polsku, a ich językiem był tatarski.

Dalej muzykalny dom Merskich. Za nim biedny dom żydowski. Pięknie utrzymany, w oknach kwiaty.

Pomiędzy domami Tatarów i Merskich była uliczka, na której po stronie prawej mieszkał w niewykończonym domku ukraiński szewc z żoną i dwojgiem dzieci, córka Tońka była uczennicą szkoły powszechnej.

W następnym domu na tej uliczce mieszkali p. Sołtykowie z dwiema córkami: Nusią i Stasią, także uczennicami szkoły powszechnej. Pan Sołtyk miał ogrodnictwo.

Znajdowały się tam jeszcze inne domy, ale nie wiadomo, kto w nich mieszkał.

Wracając na ul. Plebańską, godnym uwagi był dom Hnatiuków. Petryk Hnatiuk wieczorami wygrywał w lecie w ogródku serenady na skrzypcach.

Malutki i piękny biały domeczek zamieszkiwała rodzina Świżewskich. Ojciec był pracownikiem kolejowym. Troje dzieci. Najstarszy Janek poszedł do wojska, gdzie zastała go wojna, ponadto byli Romek i Wanda.

Za domkiem Świżewskich stał duży dom pani Baranowskiej – pielęgniarki, której zawdzięczaliśmy picie tranu, naświetlanie lampą kwarcową i szczepienia. Miała dwóch synów, Władysława i Jana.

O rodzinie Peryniaków niewiele wiadomo, a dalej był dom Cwiągalskich. Mieli dwóch synów, starszy ożenił się z córką Czoharów, która wcześniej zmarła, mieli oni małego synka. Drugi, Zenek, był uczniem gimnazjum.

Potem Bojczukowie, bardzo liczna rodzina i p. Bień z synem, bardzo zdolnym uczniem gimnazjum.

W zakończeniu ulicy mieszkali Ukraińcy, chyba nie mieli dzieci chodzących do naszej szkoły.

Na Tłumaczyku była rozkołysana, chyba dziesięciometrowa kładka. Tą kładką szło się na stawiska i do wiosek.

Wracając z ulicy Plebańskiej w kierunku kościoła mijamy malutki domek przy kładce nad samym brzegiem rzeki. Był to domek Weberbauerów. Liczna rodzina urodziwych i zdolnych osób. Ojciec metalowiec, synowie też, córka Waleria była nauczycielką, Zosia dobra gospodyni, Ziunek najmłodszy był uczniem szkoły powszechnej.

W bliskim sąsiedztwie z Weberbauerami stał nowy, ładny dom Korneluków, rodzina inżyniera budowlanego. Stasia i Zbyszek uczęszczali do gimnazjum, a Marysia i Danusia do szkoły powszechnej.

Dwoje bezdzietnych ludzi w małym schludnym domku to państwo Ziembrowscy. Do pana „Ziembry” nosiło się buty do naprawy.

Dom Feliksa i Heleny z Petrusów Bilińskich stanowił chyba największy obiekt przy ulicy Plebańskiej. Szczególnie okazała była stodoła. A za stodołą ogromna sterta słomy, jakby specjalnie dla dzieci do zabawy przygotowana. Ale nie każdy mógł tam przyjść, bo psisko dobrze spełniało swoje obowiązki, a był bardzo duży i głośno szczekał. Drugi budynek to była duża stajnia z końmi, a przy niej powozownia. Tymi pojazdami służący Mikol woził urzędników. Rodzina była liczna, syn Marian, Ziunia bardzo zdolna uczennica gimnazjum, Lońcio i Jańcia uczniowie szkoły powszechnej. Oprócz dzieci własnych u pp. Bielińskich wychowywały się dzieci z biednych rodzin. Pamiętam Mikołaja i Stefanka.

Do Tłumacza przyjechała z Borysawia pani Duszowa z dwiema córkami Janką i Stasią. Zamieszkały w nowym domu. Córki chodziły do szkoły powszechnej.

Ostatni ładny, zadbanej dom w zieleni należał do Józefa i Bronisławy z Petrusów-Kłonowskich – rodziny urzędnika skarbowego. Mieli oni troje dzieci: Mania ukończyła seminarium nauczycielskie, Stefa i Janek uczyli się w szkole powszechnej.

Opracowali dawni mieszkańcy tych ulic.

Mój mały Brat (cz. I)

Ks. Lesław Jeżowski

Wkrótce po nagłej, zupełnie nieoczekiwanej śmierci mojego śp. brata, Zbigniewa, Redakcja „Zeszytów Tłumackich” zwróciła się do mnie z prośbą o napisanie o Nim wspomnienia. Chciałem to uczynić, ale jakieś konieczne zajęcia stanęły na przeszkodzie, potem zapomniałem o swoim zamiarze, a w końcu doszedłem do wniosku, że mało kogo z tłumaczan interesowałaby jego biografia, jako że Brat nie miał w ostatnich dziesiątkach lat żadnych kontaktów ze swoimi przedwojennymi kolegami, nikt go już nie znał, więc nie ma sensu o nim pisać.

Dopiero niedawno nasunęła mi się myśl, że – owszem – Brat jako człowiek dojrzały wyobcował się ze środowiska, w którym wzrastał w Tłumaczu, ale jako dziecko pozostał chyba w pamięci swoich kolegów i koleżanek. Więc dla nich może warto opisać, jakim był w latach przedwojennych, gdy chodził z nimi do szkoły i razem z nimi się bawił. A tego rodzaju wspomnienie pozwoliłoby ewentualnym czytelnikom „Zeszytów” przypomnieć sobie ich własne, odległe dzieciństwo, warunki i sytuacje, wśród których rośli. Stąd wziął się ten tekst.

Kilka lat pozostawałem jedynakiem. Nie byłem z tego zadowolony. Inni chłopcy mieli rodzeństwo, mieli się z kim w domu bawić, a ja wciąż sam i sam. Dlatego często prosiłem: Kup mi, Mamo, braciszka. W odpowiedzi słyszałem, że na razie brak na niego pieniędzy. Ale po jakimś czasie Mama zapowiedziała, że go dostanę. Bardzo się tą wiadomością ucieszyłem i nie mogłem się doczekać, kiedy to nastąpi. A stało się, gdy przebywałem na wakacjach u swojej babci w Nowym Sączu. Pojechałem tam ze Stanisławowa i przebywałem sam, czemu bardzo się dziwiłem, bo zazwyczaj była ze mną Mama. Gdy pokazywałem zabrane z domu fotografie, babcia ze smutkiem stwierdziła, że mama źle wygląda. Zdecydowanie temu zaprzeczyłem. Może jeszcze nigdy Mama nie była taka tęga, jak teraz. Jednak babcia nie dała się przekonać. Ucieszyła się dopiero dnia 2. września 1928 r. telegramem ze Stanisławowa, że ma drugiego wnuka. Przeczytawszy go, wzruszona, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła przed wiszącą na ścianie płaskorzeźbę przedstawiającą Boże Narodzenie i głośną modlitwą podziękowała za przyjście na świat mego braciszka.

Za kilka dni przyjechał po mnie Tata, aby zabrać mnie do Stanisławowa. Razem zastanawialiśmy się, jakie imię wybrać dla niemowlęcia. Jedno podobało się więcej Tacie, drugie mnie. Na żadne nie zgodziliśmy się wspólnie. Przyjechawszy do domu zaraz pytałem, gdzie jest mój brat? Wiedziałem, że jako noworodek jest mały, nie mówi, nie chodzi, ale gdy mi go Mama pokazała zawiniętego w poduszce, dopiero wtedy ten fakt przeżyłem całym sobą. Byłem rozczarowany tą małą główką, jaką miałem przed oczami, zamkniętymi powiekami, trochę wykrzywionymi w śnie ustami. Kiedyż takie maleństwo dorośnie, kiedy będę się mógł z nim bawić? Chciało mi się płakać. Rodzice uspokajali mnie jak mogli, ale ja długo nie mogłem wyjść ze wstrząsu, którego doznałem na pierwszy widok swojego braciszka.

A on szybko rósł. Lubilem asystować przy jego kąpielach, zawijaniu w pieluszki, a zwłaszcza przy karmieniu. Leżał wtedy czyściutki, pachnący i z zadowoleniem pociągał z flaszki. Mama, oprócz swego pokarmu, dawała mu do picia specjalną mączkę Nestla, w owych latach nowość sprowadzaną do nas bodajże z Francji. Zdrowe odżywianie powodowało, że dziecko szybko przybierało na wadze, a jego smagłe ciało robiło się jędrne.

Chrzest Brata przypadł podczas pamiętnej, niezwykle ostrej, zimy 1928 roku. Aby go udzielić przyjechał z pobliskich Bolszowiec przeor tamtejszego klasztoru Karmelitów, O. Bernard Paciorek, który był jakby naszym rodzinnym kapelanem. Przed zabraniem do kościoła dobrze zabezpieczonego przed mrozem dziecka zapytał, jakie otrzyma imię? Wtedy Tata bez namysłu powiedział: Zbigniew. Wybierając w Sączu imię dla mego brata, nigdy takie nie padło, toteż zdziwiłem się, że Tata właśnie je podał. Ale podobało mi się. Będę więc mówił do braciszka: Zbysiu. Po powrocie z kościoła w domu odbyło się wielkie przyjęcie dla licznych gości. Piece grzały mocno, aby przez ściany nie przepuścić siarczystego mrozu sięgającego – 40°, który mógłby zaszkodzić nowochrzczeńcowi. Przedtem, jako mały poganin, teraz jako nowy chrześcijanin, braciszek stał się główną osobą naszej rodziny. Wokół niego, jego potrzeb wszystko się kręciło. I ja zostałem wprzęgnięty w krąg osób troszczących się o niego. W określonych sytuacjach musiałem go pilnować, zabawiać, wozić, co zresztą z chęcią czyniłem.

Nadszedł czas, że zaczął chodzić, ku radości i podziwowi wszystkich w domu; coś mówił, przekomarzał się z nami. Mnie nazywał Asia. Gdy wyszedł z dziecięcych sukienek, Mama bardzo ładnie go ubierała. Pamiętam, że wychodząc na ulicę, na swoje ubranko wdziawał czerwony płaszcz z białymi guzikami oznaczonymi czerwonymi krzyżakami równoramiennymi, głowę nakrywał okrągłym, też czerwonym, kapelusikiem z podwiniętym rondem, co bardzo odpowiadało ówczesnej, dziecięcej modzie. Nieraz słyszałem pochlebne uwagi przechodniów o wyglądzie Zbysia, gdy szedłem trzymając go mocno za rękę, po parku lub stanisławowskich ulicach. Gdy miał dwa lata trzeba było je zamienić na tłumackie, bowiem Tata został przeniesiony do starostwa w nieodległym Tłumaczu. I tutaj brat nie był jeszcze

partnerem moich zabaw, o czym dawniej marzyłem, a z czym – też od dawna – pogodziłem się. Ale jakieś namiastki dziecięcych igraszek łączyły nas sporadycznie.

Rówieśników wśród naszych znajomych Zbysiu nie miał wielu. Najlepiej odpowiadało mu towarzystwo Zygmunia Hrapkowicza, syna maminej szkolnej koleżanki. To bliskie koleżeństwo dwóch chłopców miało przetrwać szereg lat.

Wiem, że opisywanie początkowych lat życia brata w Tłumaczu dla dorosłego czytelnika nie jest rzeczą zbyt interesującą, dlatego je pominię. Przejdę do roku 1934, w którym zaczął chodzić do szkoły. Odtąd mogli go znać ci tłumaczenie, którzy również wtedy rozpoczęli swoją edukację i którzy żyją do dzisiaj. Rodzice zapisali brata do tzw. ćwiczeniówki, czyli do szkoły ćwiczeń pedagogicznych przy miejscowym Seminarium Nauczycielskim założonym przez ks. Tabaczkowskiego, tłumackiego proboszcza w 1924 r. Szkoła ta miała dobrą opinię, uczęszczało do niej niedużo dzieci, szczególnie z rodzin, którym zależało na wzorowym wychowaniu swoich pociech. Uczyły panie m. in. Czocharówna, Godymirska, Rzeżychowa. Dla Brata ćwiczeniówka miała i tę zaletę, że mieszcząc się w budynku Seminarium znajdowała się stosunkowo blisko domu, w którym mieszkaliśmy. Wystarczyło przejść z ulicy Słowackiego przez tzw. Hof. Nauka w pierwszej klasie szła Zbysiu dosyć opornie. Nie potrafił rozpoznawać liter, łączyć je w słowa, mimo domowych wysiłków Mamy, Taty, a także i moich. Przeczytany przez nas ustęp z podręcznika starał się zapamiętać, a potem, patrząc na tekst, udawał, że sam go odczytuje. Jednak popełniane omyłki zdradzały go. W jednej czytance ptaszek pluskał się w kałuży, ale Zbysiu, pamiętawszy tylko, że w jakiejś stojącej wodzie, zrobił z kałuży bajoro, co nas rozśmieszyło, a jego speszyło, bo wyszło na jaw jego udawanie czytania. Zamiast siedzieć nad książką i zeszytem wołał iść do Zygmunia, „do Zydmunia”, jak nieumyślnie przekręcał to imię. Państwo Hrapkowiczowie posiadali przy swoim domu obszerne podwórze, na którym można było grać w piłkę nożną, siatkówkę i inne gry ruchowe, które Zbysia bardzo pociągały. Mimo nienajlepszych ocen na świadectwach szkolnych przechodził z klasy do klasy, uważany za pilnego i posłusznego ucznia, grzecznego i dobrze wychowanego.

W drugiej klasie dzieci szły do I Komunii św. Ale nie wszystkie. Te, które jakby nie dosyć rozumiały istotę tego Sakramentu przyjmowały go później. Mnie się wydawało, że Zbysiu jest jeszcze za dziecinny, aby już się komunikował i radziłem jemu, a przede wszystkim rodzicom odłożenie przyjęcia Komunii św. do następnego roku. Zbysiu nie chciał na to przystać. Gdy raz mocniej wystąpiłem w obronie swej opinii on rozplakał się, czym złamał obawy rodziców. W pięknym kremowym ubranku, wyświeżony od stóp do głów przyjął Pana Jezusa zgodnie ze swoim pragnieniem. Oczywiście, on i jego koledzy nie otrzymali w dniu I Komunii św. żadnych upominków, nie było też żadnej domowo-rodzinnej uroczystości, tak rozpowszechnionych dziś za wzorem Niemiec i Górnego Śląska, co niemal całkowicie odciąga uwagę dzieci od ich Naj-

świętszego Gościa, a skierowuje na sprawy całkowicie przyjemne.

Nasza Mama była bardzo muzykalna, miała, podobnie jak jej siostry, piękny głos, grała na fortepianie, w domu znajdowało się radio, wtedy, na początku i w połowie lat trzydziestych, rzadkość w Tłumaczu, gramofon; my, dwaj chłopcy, rośliśmy w muzykalnej atmosferze, znaleźliśmy jeżeli nie tysiące, to na pewno setki melodii. Zbysiu przepadał za płytami z nagraniami słynnego naszego tenora, Jana Kiepury, lubił puszczać je na gramofonie i śpiewać razem z artystą. Doszedł w tym naśladownictwie do prawdziwej perfekcji, bo osiągał takie tony, jak on, potrafił też, jak Kiepura, utrzymywać je głosowo tak długo, jak światowej sławy mistrz. Swym talentem, umiejętnością Zbysiu wprowadzał w zdumienie słuchających go. Pewnego razu przyjechali do nas nasi znajomi ze Stanisławowa. Zanim podano do stołu jednemu z panów zaproponowałem, aby posłuchał jak Zbysiu śpiewa. Nie chcąc sprawiać starszemu synowi gospodarzy przykrości niechętnie zgodził się na nudzenie się kwileniem czy też wydzieraniem się małego chłopca. Usiadłem przy klawiaturze fortepianu, on stanął przy mnie, a Zbysiu zaczął jedną z piosenek Kiepury. Początkowe znudzenie naszego słuchacza szybko ustąpiło, a przejawiało się zainteresowaniem, uznaniem, a nawet podziwem. Reszta towarzystwa, która dołączyła się do nas słysząc śpiew brata, uznała go niemal za cudowne dziecko. Żeby nieduży chłopiec mógł mieć tak mocny, wspaniały, dobrze ustawiony głos – nie mogli pojąć. Zbysiu cieszył się z uznania, jakie otrzymał, a ja – że mam nie byle jak utalentowanego brata.

Z pokojem stołowym naszego mieszkania łączył się dosyć duży, betonowy balkon, z którego często korzystaliśmy, a już najwięcej, w pewnych okresach, Zbysiu. Lubiał stać na nim, oprzeć się o balustradę i śpiewać. Przede wszystkim piosenki z repertuaru Kiepury, ale także inne, powszechnie znane i chętnie słuchane. To też przechodnie czasem przystawali nawet, aby do końca usłyszeć dany utwór. Niezamierzenie nasza dzielnica stawała się niekiedy terenem swoistego, muzycznego tercetu. Przy ulicy Rejtana Staszek Jaworski grał na trąbce, na Hofie p. Czohara na flecie, a przy Słowackiego mały Jeżowski wyśpiewywał. Gdy pytano Zbysia, kim chciałby w przyszłości zostać, nieodmiennie odpowiadał: Kiepurą. Mama zawsze temperowała wokalne wyczyny brata, niekiedy wręcz zakazywała mu nadmiernego, niebezpiecznego nasilania głosu. Nie brała poważnie „kiepurowskich” zamiarów swego młodszego syna. A on był jeszcze za mały, aby angażować go w jakieś występy w sali Sokoła podczas okolicznościowych tzw. poranków, namiastki uroczystej akademii. Sam najlepiej wolał śpiewać u siebie w domu, wobec rodzinnego audytorium. Nie słyszałem, aby popisywał się w szkole.

Poza wspomnianym „Zydmusiem”, a później Fritscherem, nie wiem nic o jego bliższych kolegach. Nie pojawiali się u nas. Mama do przesady dbała o idealny porządek mieszkania. Toteż nam obydwóm zabraniała przyprowadzania kolegów, w obawie, że mogą lśniąco czystością pokoje zabłocić lub zaśmiecić. Ale na pewno Zbysiu zachodził do nich, a nic nie mogło go powstrzy-

mać przed stałym odwiedzaniem domu pp. Hrapkowiczów, nawet obowiązek uczenia się czy wykonania jakiejś drobnej, domowej pracy. Nie pytając o pozwolenie, po prostu uciekał z mieszkania. Zdarzało się to również podczas obiadu, do którego był zmuszony usiąść przy stole. Obiadowych dań, jak każde niemal dziecko, nie lubił i bronił się przed ich spożywaniem. Mama jednak pilnowała aby jadł wszystko, co znajdowało się na talerzu. Gdy jakoś tam skonsumował pierwsze danie, wypatrzywszy chwilę, gdy Mama była czymś zajęta przy stole, momentalnie zrywał się z krzesła i biegiem wypadał z jadalni, zanim Mama mogła go pochwycić i zatrzymać, potem szybko po schodach i już był na ulicy, w drodze do „Zydmusia”.

Tata poprzestawał tylko na łagodnym monitowaniu Zbysia, aby nie tracił czasu na zabawy, a w ogóle nie potrafił niczego mu zabronić lub odmówić. Obydwaj byliśmy przez rodziców jednakowo kochani i traktowani, ale Zbyszek, jako młodszy i bardziej czuły w objawianiu swoich synowskich uczuć, odgrywał rolę beniaminka. Niemal zawsze towarzyszył Tacie w jego wyjazdach służbowych samochodem i podczas rozmaitych komisji na terenie powiatu. Stąd też pojawiał się na rozmaitych zdjęciach fotograficznych robionych przy tych okazjach i na ilustracjach prasowych. Czasopismem, które często zajmowało się powiatem tłumackim był „Wschód”, obejmujący swoim zainteresowaniem trzy województwa południowo-wschodniej Polski: lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. I właśnie we wspomnianym „Wschodzie” można było oglądać grupowe zdjęcia uczestników uroczystości, zebrań, imprez odbywających się na terenie tłumackim. Jeżeli widniał na nich mój Ojciec, to prawie zawsze przy nim stał mały chłopiec, właśnie mój brat. Trochę dziwnie to wyglądało, gdy w środku fotografii, bo przy Tacie, otoczone poważnymi ludźmi, patrzyło w aparat również jedno dziecko. Nawet zwracałem na to uwagę w domu, wyrażałem pogląd, że Tata traci na powadze pokazując się tam, gdzie nie trzeba, ze swoim synkiem, lecz moje uwagi nie odnosiły skutku.

Pewnego dnia, przed południem, gdy w gimnazjum trwała przerwa między lekcjami, do mojej klasy przyszedł p. Tomyn, kierowca starościński, i oznajmił, że Tato prosi, abym z nim pojechał do pewnej miejscowości. Zaskoczyła mnie ta zupełnie nieprzewidywalna wiadomość, a p. Tomynowi powiedziałem, że zapewne pomylił się. Tata skierował go do mojego brata, a on poszedł do mnie. Jednak p. Tomyn był pewny, że chodziło właśnie o mnie. Poszedłem więc do gabinetu Ojca w starostwie. Tata był zaskoczony moim widokiem i chyba starał się to ukryć. Wyjaśnił mi, że posyłał po Zbysia, bo on z powodu wyjazdu straci kilka lekcji, co nie jest niczym wielkim, natomiast ja, uczeń gimnazjalny, i to wyższej klasy, powinienem pilnować nauki. Na rozrywki, w tym i na wycieczki samochodowe, mam popołudnia, po zajęciach szkolnych. Jednak tata zabrał mnie ze sobą bo poinformowałem go, że dzisiaj nie mam już żadnej ważniejszej lekcji. Tam dokąd pojechaliśmy, jeżeli robiono jakieś zdjęcia, to mnie na nich na pewno nie było.

(c.d.n.)

Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

Moja odyseja wojenna

Michał Nikosiewicz



Michał Nikosiewicz
rok 1937

Rok 1939. Od dwóch lat jestem lekarzem 18 batalionu Junackich Hufców Pracy w Poznaniu (Junackie Hufce Pracy podlegały Ministerstwu Spraw Wojskowych). Z końcem sierpnia batalion otrzymał rozkaz opuszczenia Poznania transportem kolejowym w kierunku wschodnim. Zgodnie z rozkazem 31 sierpnia 1939 r., przed północą, około 400 junaków i kilkunastu oficerów wyjechało z miasta w kierunku Warszawy. Pociąg, którym jechaliśmy,

miał częste postoje, gdyż przepuszczał transporty wojskowe jadące na zachód.

1 września 1939 r. ranek był mglisty... Około piątej rano, kiedy po raz kolejny transport zatrzymał się, zauważyliśmy przelatujące samoloty, a wkrótce potem usłyszeliśmy wybuchy bomb. Zaczęła się wojna! Było to pod Kutnem. Ponieważ tory zostały pozrywane staliśmy więc długo przed stacją czekając na ich naprawę. tak było kilka razy, więc dopiero 3 września rano dojechaliśmy na Dworzec Gdański w Warszawie. Tutaj batalion otrzymał rozkaz opuszczenia transportu i udania się marszem pieszym dalej na wschód Polski. Wczesnym rankiem wyruszyliśmy przez zbombardowany most Kierbedzia w kierunku wschodnim. Cały sprzęt batalionu i nasz osobisty bagaż został na dworcu. Batalion szedł przez Mińsk Maz., Żelechów, Siedlce. Marsz odbywał się przeważnie o zmroku i w nocy, gdyż samoloty niemieckie bombardowały kolumny poruszające się po drogach. Spaliśmy w dzień w lasach i zagajnikach unikając miejsc zamieszkałych. Po drodze mijaly nas samochody rządowe, ambasad, sanitarki, samochody straży pożarnej z Warszawy, autobusy oraz prywatne auta. Przez Siedlce przechodziliśmy w nocy i widzieliśmy, jak paliły się zbombardowane koszary i płonęły budynki w mieście. Doszliśmy do Bugu. W Szacku 15 września otrzymałem zwolnienie z obowiązków lekarza batalionu. Moja karta mobilizacyjna polecała mi stawić się w Kadrze Zapasowej 6 Szpitala Okręgowego we Lwowie.

W tym czasie Lwów już od tygodnia otoczony był przez wojska niemieckie, które usiłowały zdobyć miasto, a 17 września wojska sowieckie przekroczyły granicę Polski i zaczęły zajmować wschodnie tereny. Pomimo tak ciężkiej sytuacji udało mi się ostatnim wojskowym transportem, który przedostał się przez nieszczęśliwą blokadę (przez Dublany) dojechać świtem 20 września 1939 r. do Lwowa. Po przyjeździe natychmiast zameldowałem się w Dowództwie Obrony Lwowa, skąd skierowano mnie do koszar Kadry Zapasowej Służby

Zdrowia przy ul. Jabłonowskich. Tam zastałem kilkunastu oficerów-lekarzy bez przydziału. Po dwóch nieprzespanych nocach położyłem się do łóżka i zasnąłem kamiennym snem. Podobno w nocy Niemcy ostrzeliwali i bombardowali miasto, ale ja nic nie słyszałem. Rano po śniadaniu czekaliśmy wszyscy na jakieś rozkazy. W mieście panowała niezwykła cisza... Około godz. 8-mej przyszedł do sali sypialnej lekarz w randze pułkownika z propozycją, żeby wobec przepełnienia lwowskich szpitali zorganizować w budynku gimnazjum przy ul. Łyczakowskiej, na wprost Szpitala Okręgowego, filię tego szpitala. Na pytanie, kto podejmie się organizowania filii, ja zgłosiłem się pierwszy. Po mnie zgłosiło się jeszcze kilku lekarzy, którzy z rozbitych na froncie jednostek zdążyli przed wojskiem niemieckim dotrzeć do Lwowa. Do dyspozycji otrzymałem samochód ciężarowy, a do pomocy kilku sanitariuszy, z którymi pojechaliśmy do koszar po żelazne łóżka i sienniki i zaczęliśmy urządzać „szpitalne” sale. Pościel mieliśmy otrzymać z zapasów Szpitala Okr. Po południu planowałem pojechać do klasztoru sióstr Sacré Coeur po pielęgniarki i „ochotniczki” – siostry pogotowia PCK. Było już popołudnie, kiedy kończyliśmy stanie łóżek w kilku salach gimnazjalnych, gdy na spokojnej ul. Łyczakowskiej rozpoczął się nagły ruch. Okazało się, że tą ulicą wkraczają do miasta wojska sowieckie, a miasto opuszczają idący w kolumnach żołnierze polscy.

Gdy Sowieci zobaczyli w oknach szpitala naszych oficerów w mundurach, wpadli do budynku i mimo moich zapewnień, że to jest szpital, wypędzili nas na ulicę i włączyli do kolumny żołnierzy polskich idących już bez broni. Później okazało się, że dowództwo Obrony Lwowa postanowiło poddać miasto wojskom sowieckim, które stały na rogatkach Łyczakowa, a nie wojskom niemieckim, które od kilku dni otaczały Lwów od zachodu i północy i nękały bombardowaniami i atakami. Dlatego od rana było we Lwowie tak spokojnie, gdyż ustał atak Niemców. W umowie kapitulacyjnej z Sowiecami zawarty był punkt, że wszyscy umundurowani już bez broni muszą opuścić Lwów ul. Łyczakowską i kierować się na wschód. Nasza grupa składająca się z kilku lekarzy i sanitariuszy włączyła się w tłum żołnierzy i oficerów opuszczających miasto. Zatrzymaliśmy się dopiero na polanie otoczonej lasem. Na krańcach polany stali żołnierze sowieccy piesi i konni. Przy szosie stały czołgi, a na pagórku nad szosą widać było grupę oficerów sowieckich. Dwaj nasi koledzy, lekarze z Warszawy, którzy znali język rosyjski, postanowili podejść do grupy oficerów stojących przy czołgach i zapytać, dlaczego zabrano nas ze szpitala do niewoli. Trafili „w dziesiątkę”. W grupie oficerów przy czołgu znajdował się dowódca wojsk zajmujących Lwów, kom. bryk. (komandir brygady) Szaraburko. Po rozmowie z nim koledzy wrócili do nas z wiadomością, że: „mamy wracać do szpitala i aby łatwiej było przedostać się przez tłum żołnierzy i jeńców polskich, kom. bryk. daje nam samochód z eskortą, która ma nam ułatwić powrót do Lwowa i pilnować, żeby już nas drugi raz nie zabrano jako jeńców.”. Trudno w to nawet teraz uwierzyć! Pięciu lekarzy

i kilku sanitariuszy w samochodzie pod eskortą wróciło do miasta. Zapadał zmrok, kiedy przed szpital zajeżdżał konwój furmanek chłopskich z rannymi w walkach z Niemcami, których szpital polowy w Brzuchowicach nie był w stanie przyjąć z uwagi na przepełnienie. To była bardzo ciężka noc... rannych wymagających interwencji chirurga przekazywaliśmy natychmiast na oddział chirurgiczny, lżej rannych, po zmianie opatrunków, zostawialiśmy w naszym „pożal się Boże” szpitalu. Rano już się uspokoiło.

Następnego dnia udało mi się zdobyć ubranie cywilne, w które się przebrałem. Na ulicach Lwowa nie było już widać wojskowych w polskich mundurach.

Wkrótce komendant szpitala przeniósł mnie na oddział okulistyczny do głównego budynku. Ordynator tego oddziału był na froncie, a zastępujący go asystent Kliniki Okulistycznej dr Jan de Lapierre właśnie zachorował. Jedynym więc pseudo-okulistą w szpitalu byłem ja.

Pod koniec września miałem tzw. „nocny dyżur”, gdy około godz. 22-giej wezwano mnie do dyżurki. Przywieziono rannego polskiego generała. W dyżurce na noszach leżał ranny gen. W. Anders, a obok stał jego pocztowy wachmistrz. Przy stoliku siedział oficer NKWD, który powiedział, że oddaje rannego do szpitala, ale ja muszę potwierdzić jego „odbiór”. Podobno wożono generała po kilku lwowskich szpitalach, ale wszędzie było brak miejsc – wreszcie przywieziono go do nas. U nas też łóżek wolnych nie było, ale jeden z lżej rannych oficerów leżący na sali oficerskiej przeniósł się na fotel ustępując miejsca generałowi, którym zajął się już lekarz dyżurny z oddziału chirurgicznego. gen Anders wspomina o tej przygodzie w swojej książce „Bez ostatniego rozdziału”, wyd. Londyn 1959 r. Może to moje potwierdzenie „odbioru” gen. Andersa zachowało się w archiwach NKWD?

10 października 1939 r. władze sowieckie przejęły Wojskowy Szpital Okręgowy we Lwowie na własne potrzeby. Rannych i chorych nakazano przenieść do innych szpitali oraz do klinik. W szpitalu wojskowym pozostawiono jedynie salę na oddz. chirurgicznym z rannymi „na wyciągach” i jednego lekarza chirurga. Oprócz chirurga zatrzymano mnie, jako lekarza-okulistę, oraz laryngologa dr. Mieczysława Korbela z Nowego Sącza. Ponieważ władze sowieckie nie miały „chwilowo lekarzy tych specjalności”, zostałem więc „ordynatorem” oddziału okulistycznego w wojskowym szpitalu sowieckim. Zapewniono mnie, że wkrótce przybędzie ich lekarz-okulista i wtedy zostaną zwolniony.

Mieszkałem i byłem (już jako cywil) na utrzymaniu szpitalnym. Do obsługi chorych miałem 10 osób w mundurach: sanitariuszy i pielęgniarki. Na oddział zaczęto przysyłać żołnierzy sowieckich ze stanami zapalnymi itp. Któregoś dnia zgłosił się żołnierz, który, jak okazało się z wywiadu, jest prawie ślepy od wielu lat. Był on zwolniony z odbywania służby wojskowej, ale kiedy pracował przy żniwach na polu kołchozowym – w połowie września – zajeżdżały samochody wojskowe i zabrały wszystkich mężczyzn z pola. Chory tłumaczył, że jest zwolniony z wojska i ma w domu na to „papiery”, ale wszystkich zawieziono do koszar, przebrano w mundury i wysłano na polską granicę. Zwróciłem się w tej sprawie do komendanta szpitala, który polecił mi zwolnić żołnierza do cywila.

Pod koniec października 1939 r. przybył do szpitala powołany z rezerwy lekarz-okulista z Odessy. Zgłosiłem

się więc do komendanta prosząc o zwolnienie. Komendant namawiał mnie, żebym pozostał na miejscu albo podjął pracę jako okulista na Ukrainie. To samo usłyszałem od komisarza, bez podpisu którego nie mogłem być zwolniony. Tłumaczyłem im, że jeszcze nie ukończyłem specjalizacji (co było prawdą) i że już mam zapewnione przyjęcie na staż w Klinice Okulistycznej we Lwowie. 1 listopada 1939 r. byłem „wolny”.

Mieszkałem „kątem” u znajomych i kolegów. Pomimo nakazów nie zarejestrowałem się we Lwowie jako „uchodźca” z terenów Polski znajdujących się pod okupacją niemiecką. Do Poznania, gdzie mieszkałem, nie mogłem wrócić, bo właśnie zaczęto wysiedlać stamtąd Polaków, jako że te tereny zostały włączone do Rzeszy.

Gdy z radia u znajomych dowiedziałem się, że gen. Sikorski organizuje we Francji rząd i wojsko polskie, pomyślałem o ucieczce na Zachód. Pojechałem więc do Tłumacza, aby odwiedzić Rodziców, którzy tam mieszkali. W domu przebrałem się „turystycznie”: Buty narciarskie, krótka kurtka podbita futrem. Z dokumentów zatrzymałem książeczkę wojskową, zwolnienie ze Szpitala Okr. nr VI we Lwowie oraz zwolnienie z wojskowego szpitala sowieckiego. Po powrocie do Lwowa przez kolegów nawiązałem kontakt z lekarką, której zmobilizowany mąż-lekarz po 17 września przeszedł na Węgry. Już od października 1939 r. organizowane były „siatki” przerzutów ze Lwowa na Węgry. Raz w tygodniu lub raz na dwa tygodnie grupa polskich oficerów (w cywilu) próbowała z przewodnikiem dostać się na Węgry przez pilnowaną przez wojska sowieckie granicę. Przez cały listopad ja również usiłowałem skorzystać z tej okazji. Ale w tym czasie wstrzymano chwilowo przerzuty przez granicę z powodu „wpadki” jednej z grup pod Nadwórnią, a przewodnik drugiej grupy nie wrócił z Węgrów.

Zaczynała się zima, gdy pojechałem do Stanisławowa odwiedzić krewnych Ormian, pp. Antoniewiczów, u których gościła również nauczycielka z Delatyna p. Rypsima Mojzesowicz. Pani Rypsima zabrała mnie do siebie do Delatyna, a sama pojechała do Wońcicy, gdzie mieszkał i pracował w tartaku jej przyrodni brat p. Petrowicz, aby omówić z nim plan mojej ucieczki. Tą drogą zamierzałem bowiem opuścić kraj.

Wieczorem 4 grudnia 1939 r. pojechałem pociągiem z Delatyna do Wońcicy. Dworzec w Wońcicy był dobrze oświetlony i obstawiony wojskiem. Pasażerowie z pociągu przy wyjściu byli kontrolowani przez kolejarza odbierającego bilety, milicjanta, żołnierza straży granicznej oraz cywila (NKWD?). Z pociągu zabrano sporą grupę „turystów z plecakami” do wyjaśnienia. Ja na szczęście nie zostałem zatrzymany – może dlatego, że nie miałem ani plecaka, ani żadnego zawiniątka, moim „całym bagażem” były dwie chusteczki do nosa. Petrowicz czekał na mnie na dworcu. Przenocowałem u jego kuzyna, który mieszkał z rodziną przy wiadukcie „Woronienka”.

5 grudnia 1939 r. poszliśmy z Petrowiczem „na spacer” do lasu. Przewodnik doprowadził nas do schroniska PTTK na Kukuli i tam pożegnaliśmy się z nim, musiał bowiem wracać, gdyż milicja kontrolowała go czasem, a on miał przy sobie broń. Zapadał zmrok... sypał śnieg, w schronisku odbywały się tańce przy harmonii. Przez Kiczere i Kukul szliśmy z Petrowiczem przez całą noc. Tę część Czarnohory na szczęście znałem dobrze z młodzieńczych lat, gdyż jako harcerz często wędrowałem po górach i dolinach Wschodnich

Karpat. Rano około godz. 8-mej byliśmy już na Węgrzech. Ponieważ na granicy nie spotkaliśmy węgierskiej straży granicznej, zgłosiliśmy się na posterunek żandarmerii węgierskiej w Kórcmczy. Żandarmi węgierscy przyjęli nas gościnnie i poczęstowali kawą i białym pieczywem. Ponieważ 6 grudnia wypadły imieniny Miklosza Horthiego – przywódcy Węgier, więc żandarmi zostawili nas na posterunku, a sami odświętnie ubrani (pióropusze na hełmach, białe rękawiczki) poszli na mszę odprawianą z tej okazji. Przez cały dzień schodziły się grupki Polaków uciekających z kraju. Po południu sporą grupę Polaków żandarmi odwieźli pociągiem do obozu w Miskolcu. Stamtąd przewieziono nas do Budapesztu i umieszczono w twierdzy na górze Gellerta. Tam przyjechała komisja polsko-węgierska, która miała dokonać selekcji. Osoby cywilne kierowano do obozów dla ludności cywilnej, oficerów do obozów internowanych dla oficerów, a żołnierzy do obozów żołnierskich. Polskiego członka Komisji zapytałem: „Z jakiego obozu najłatwiej można uciec do Francji?”. Poufnie poinformował mnie, że z cywilnego. Podałem więc na komisji, że we wrześniu 1939 r. nie byłem w wojsku, wobec czego skierowano mnie do cywilnego obozu w Garani. Obóz mieścił się w zamku nad granicą czeską. Przebywali w nim głównie starcy i kobiety z dziećmi. Nie było widać żadnej organizacji. Spało się na siennikach na podłodze, pojawiły się też wszy – chociaż codziennie prałem bieliznę. Na własne potrzeby dawano nam kilka pengó. Po paru dniach, gdy otrzymałem pieniądze, kupiłem na dworcu kolejowym bilet i pojechałem do Budapesztu. Tutaj na Vaci-ut była polska placówka wojskowo-cywilna, do której zgłosiłem się i zostałem zarejestrowany na wyjazd do Francji. Okazało się jednak, że z Paryża nadeszło polecenie, aby lekarzy do formującego się we Francji Wojska Polskiego nie przysyłać, gdyż jest ich nadmiar. Koło się zamknęło. Na szczęście na ulicy Budapesztu spotkałem Władysława Wenclę – harcerza ze Lwowa. Razem z nim pojechałem do obozu harcerskiego w Szomloszels. Obóz ten mieścił się w zamku, a powstał dzięki inicjatywie węgierskich skautów, którzy zebrali wszystkich przybyłych do Węgier polskich harcerzy-instruktorów oraz młodzież, w różnym wieku. Byłem wśród swoich. Na wiosnę ośrodek harcerski przeniesiono do miejscowości Szikso k. Miskolca. Stamtąd co kilka dni znikają pojedynczo harcerze, ażeby przez „zieloną granicę” przejść do Jugosławii. Ja również „związałem” do Budapesztu. W biurze wojskowym w Budapeszcie – nauczony doświadczeniem – podałem, że jestem oficerem piechoty i magistrem WF. Było to zresztą zgodne z prawdą, gdyż w 1931 r. ukończyłem Szkołę Podchorążych w Rawie Ruskiej, a następnie Studium Wychowania Fizycznego w Poznaniu zakończone magisterium.

Wkrótce z całą grupą skierowany zostałem nad granicę jugosłowiańską, którą przeszliśmy w nocy. Dalej to już była „normalka”. Koleją dojechałem wraz z grupą podobnych jak ja „turystów gen. Sikorskiego” – jak głosiła propaganda niemiecka – do Zagrzebia. Polska placówka konsularna w Zagrzebiu wydała nam paszporty i po paru dniach wyjechałem do Aten, gdzie był kilkudniowy postój spowodowany brakiem transportu. Wreszcie po kilku dniach, statkiem rumuńskim „Transylwania”, zatrzymując się po drodze w Aleksandrii (Egipt) wylądowaliśmy w Bejrucie w Syrii, która w tym czasie znajdowała się pod protektorem Francji. Tutaj tworzyła się

armia „Lewantu” gen. Weyganda, przy której miała być zorganizowana Brygada Strzelców Karpackich składająca się z żołnierzy polskich uciekających z obozów dla internowanych znajdujących się w Rumunii i na Węgrzech. 27 maja 1940 r. zgłaszam się na stacji zbornej i weryfikacyjnej w Bejrucie i zaczynam ponownie swoją służbę wojskową.

Kadra oficerska do obsady personalnej Brygady została przysłana z Francji. Obóz szkoleniowy był w głębi Syrii w Homs. Była tam również Legia Cudzoziemska. Ponieważ po weryfikacji okazało się, że zjechał do Syrii nadmiar oficerów, a w czerwcu 1940 r. po wypowiedzeniu wojny Francji przez Włochy i wreszcie kapitulacji Francji nie było gdzie wysłać tego nadmiaru oficerów – utworzono Legię Oficerską (około 300 oficerów, przeważnie rezerwy). Dnia 1. VII. 1940 r. S. Brygada Strz. Karp. wraz ze stacją Zborną w Bejrucie i Legią Oficerską zostaje przewieziona transportem kolejowym do Palestyny, która była pod protektorem Anglii. Anglia nie skapitulowała i bardzo chętnie przyjęła oddziały Wojska Polskiego. Pierwsze miejsce naszej „wędrowki” to Samak nad jez. Genezarét, potem obóz wojskowy pod namiotami przy drodze Tel-Awiv-Jerozolima w Latrun, w pobliżu klasztoru Trapistów i ruin zamku z czasu wojen krzyżowych. Tam następuje przemundurowanie, przebrojenie. My harcerze czujemy się w swoim żywiole, śpimy pod namiotami, żyjemy się w kuchni polowej, chodzimy w krótkich „harcerskich” spodniach i koszulach. Różnica polega na tym, że jesteśmy uzbrojeni i obóz nie jest obozem letnim harcerskim. Już po zakwaterowaniu harcerze, których jest kilkudziesięciu, odnajdują się, co nie jest trudne, bo obóz nie jest wielki. Prawie w każdym oddziale piechoty, kawalerii czy artylerii jest po kilku harcerzy. Znowu nawiązujemy kontakty i tworzymy grupy harcerzy. 28. VIII. 1940 r. zostaję odkomenderowany do 62 Szpitala Wojsk. Ang. w Jerozolimie na lekarza łącznikowego Pol. Brygady, która swego szpitala wojskowego jeszcze nie miała (był w trakcie organizacji w Sarafand). Byłem jednym z nielicznych oficerów-lekarzy, którzy mogli porozumieć się z Anglikami (na Studium W F w Poznaniu był wymagany roczny kurs języka ang.). Pod koniec listopada 1940 r. wróciłem do Brygady z przydziałem do Pol. Szpitala Brygady przy Ang. Szpitalu Wojskowym Nr 12 w Sarafand, gdzie pełniłem obowiązki lekarza obsługi szpitala. Brygada tymczasem została przeniesiona do Egiptu, a w kwietniu/maju 1941 r. cały szpital polski zostaje przeniesiony do Aleksandrii w Egipcie. Obejmuję obowiązki kierownika przychodni ocznej szpitala. W latach 1941-1945 pełnię obowiązki w Kompanii Sanitarnej Brygady, Centrum Wyszkożenia Broni i Służb, zast. d-cy 3 komp. sanit. w 3 Dyw. Karpackiej II Korpusu, lekarza 3 P. Art. P-Lotniczej. W tym czasie kolejno przebywam na pustyni w Egipcie, Palestynie, Syrii, Iraku, wreszcie na froncie włoskim od 15. XII 1943 do 14. IV. 1945. Ranny pod Bolonią przebywam w szpitalach we Włoszech, potem koniec wojny i ewakuacja do Anglii.

Od 1946 do 1948 kończę kursy specjalistyczne z zakresu chorób ocznych w angielskim szpitalu w Moorfields – w Londynie i w Oksfordzie. Po złożeniu odpowiednich egzaminów w zakresie okulistyki otrzymuję w sierpniu 1948 r. prawo praktyki na terenie W. Brytanii. Pod koniec sierpnia 1948 r. wracam do kraju statkiem „Batorym” na własny koszt. □

Pamiętnik J. A. Jakubowicza (dokończenie)

Upały były okropne. Temperatura dochodziła do 40 stopni Celsjusza. Dostaliśmy płócienne rękawiczki, gdyż na takim upale skóra złażała. Na podwórzu młockarnia napędzana morokiem benzynowym warczała cały dzień. Kręciło się przy niej kilku agronomów, mój Kurlandczyk pilnował motoru i młockarni, inni ważyli ziarno, słomę i plewę. Jeszcze inni przychodowali w książkach magazynowych i umieszczali w magazynach. A tymczasem Pomianowski wykończył powóz. Wybity materiałem tapicerskim, porządnie polakierowany stał przed warsztatem podziwiany przez całe naczalstwo. Zaprzęgnięto konie, wsiadł naczelnik, komendant NKWD i Pomianowski. Wybrano najlepsze, najbardziej ręczne konie i „dawaj” w step. Po dwóch godzinach wrócili, naczelnik był zachwycony, przyznał Pomianowskiemu nagrodę pieniężną i zaproponował, aby mu zrobił jeszcze sanie. Pomianowski zgodził się, bo wtedy był osobą nietykalną i mógł mu rozkazywać tylko naczelnik. Rozpoczęło się rysowanie modeli, a ponieważ Pomianowski był nadzwyczaj zdolnym majstrem, zrobił całą kolekcję rysunków. Naczelnik był w kłopotcie, gdyż było kilka wyróżniających się modeli i naczelnik nie mógł się zdecydować. Oglądałem te rysunki w czasie, kiedy Pomianowski je rysował, rzeczywiście były piękne. Do naszego obozu zjeżdżali się naczelnicy z sąsiednich obozów, aby oglądać i chwalić powóz. Znowu zaczęły się wyjazdy Pomianowskiego celem zebrania odpowiednich materiałów. Pewnego razu przyszedł do mnie wieczorem stajenny Niemiec i wywołał mnie z ziemianki. Bardzo mnie to zdziwiło, bo nie łączyły mnie z nim żadne sprawy, a przyznać muszę, że pomimo to, że jego postępowanie wobec mnie było poprawne, nie lubiłem go. Zaczął najpierw mówić o koniach, potem o niektórych więźniach, widziałem, że kluczy, że chodzi o co innego, a nie wie, jak się do tego zabrać. W końcu zaczął: „Słyszałeś – wojna naszym, to znaczy ruskim, nie bardzo idzie, a Niemcy idą ciągle naprzód.” Jak myślisz – pyta się mnie – kto wygra? Wiedziałem o co mu chodzi, pragnął zwycięstwa Niemców. Odpowiedziałem mu: „Ruscy naśmiewali się z Polaków, że zostali pokonani. Niech spróbują, jak to boli. Ale ja myślę, że ruscy zwyciężą Niemców i najwyższy czas, żeby świat z nimi skończył”. Stajenny oddalił się, ale czułem, że po mojej rozmowie bardzo mu ciężko na sercu. Poprosił mnie, żebym z nim po niemiecku nie rozmawiał. Któregoś dnia przy końcu sierpnia rozeszła się pogłoska, że do Moskwy przyjechał gen. Sikorski i po naradzie ze Stalinem ogłoszono biuletyn, w którym Stalin zapowiada amnestię dla wszystkich Polaków. W amnestii zapewnia, że będzie się tworzyć wojsko polskie z własnym dowództwem, które ma być użyte przeciwko Niemcom. Wieczorami dyskutowaliśmy o tym z Pomianowskim. Oczywiście zwolnienie nas z obozu było perspektywą ponętą. Tworzenie wojska polskiego przypadło nam bardzo do gustu. Ale użycie słowa „amnestia” w stosunku do nas wydało się dziwne i obraźliwe. Nie byliśmy ani złodziejami, ani bandytami, tylko dobrymi Polakami, bezprawnie więzionymi. Dni mijały, a my oficjalnie nic o zwolnieniu ani nie wiedzieliśmy, ani nie słyszeliśmy. Nadal pędzono nas do roboty, nadal żywiono nas źle, tylko jakby dyscyplina jakoś się rozluźniła. Przepuszczano chuliganom ich wybruki i nie wyzyskiwano wszystkich

sił w czasie pracy. Pewnego razu zobaczyłem mego Kurlandczyka, jak jechał jednokonnym wozem w kierunku domu administracyjnego. Zobaczył mnie i zawołał: „Pan pujdy siuda”. Poszedłem do wozu i zobaczyłem, że ma kilka melonów i kawonów, które już zaczęły dojrzewać. Podał mi jednego kawona i jednego melona. Sam je starannie wybrał, aby były najdojrzalsze i powiedział: „poprobuji”. Podziękowałem i poszedłem do ziemianki, aby się podzielić z Pomianowskim. Kawalek dałem Mamczarowi. Po raz drugi miały wyruszyć wozy do Karagandy po budulec na łagry. Wiedziałem, że stajenny postara się o to, żebym i ja pojechał. Rano znowu wyruszyło tym razem 8 wozów tą samą trasą po belki do Karagandy. W tej samej wiosce robiliśmy postój, karmili i poiili konie i godzinę odpoczywali. Przed wieczorem wjechaliśmy do Karagandy do składu drzewa. Kiedy byliśmy zajęci pojeniem koni podszedł do mnie urzędnik ze składu, który rozmawiał z enkawudzistami i zapytał: „jakiej wy jesteście narodowości?”. Odpowiedziałem, że Polak. Wtedy on powiedział: „A was jeszcze nie zwolnili? Was obejmuje amnestia.” Odpowiedziałem mu, że słyszałem o tym, ale oficjalnie nic nie wiemy. „Chodźcie, pokażę wam w gazecie”. Poszedłem z nim do kantoru biura i on wyszukał dawniejszy numer gazety, pokazał palcem artykuł i powiedział: „Czytajcie”. Odpowiedziałem: „Proszę was, abyście mi przeczytali, bo ja po rusku czytać nie umiem.” Odczytał krótki artykuł, w którym było, że na mocy porozumienia generalissimusa Stalina i generała Sikorskiego zwalnia się na mocy amnestii wszystkich Polaków aresztowanych w Polsce. Ponieważ o tym już wiedziałem nieoficjalnie, nie zrobiło to na mnie już takiego wrażenia. Zwróciłem się do młodego enkawudzisty Ukraińca, który nas konwojował i spytałem: „Słyszeliście co tam napisano? Mógłbym wam teraz rzucić lejce i odjechać, gdziebym tylko chciał.” On roześmiał się na to i powiedział: „A wy wierzyacie, że was zwolnią? Teraz jest wojna, nasi ludzie idą do wojska i na front, a tacy jak wy muszą pracować i dostarczać żywności dla frontu”. Nie było z kim dyskutować, tacy ludzie jak on słuchali tylko tego co im nakazano.

Na tym kończy się pamiętnik J. A. Jakubowicza – red.

Rodzina Ormian polskich – JAKUBOWICZÓW osiedla się na terenie powiatu tłumackiego (Starostwo Tłumacz) w wieku XVIII. W księgach metrykalnych kościoła ormiańskiego w Tyśmienicy z lat 1774-1850 są odnotowani:

1775 r. Rypsyma z d. Nidzij i Antoni Jakubowicz vulgo Wujtowicz do r. 1793, mieli ośmioro dzieci.

1791 r. Marianna z d. Bogdanowicz i Walerian Jakubowicz Manna, syn: Jakub.

1794 r. Krzysztof Jakubowicz Egiz.

1794 r. Marianna i Kajetan Jakubowicz, kupiec.

1797 r. Rypsyma z d. Agopszowicz i Józef Jakubowicz, kupiec, dzieci czworo.

1799 r. Rypsyma z d. Jakubowicz i Dawid Jakubowicz, nauczyciel.

1812 r. Deodatus Jakubowicz, syn Waleriana Jakubowicza, kupiec.

1821 r. Anna z d. Pirozko i Kajetan Jakubowicz, dzieci pięcioro.

1824 r. Rypsyma Jakubowicz, wł. dóbr Komorów.
W dalszych latach (do 1850 r.) brak adnotacji o Jakubowiczach.

Dane z innych źródeł:

1890 r. Jan Jakubowicz jest właścicielem dóbr Pużniki I, scheda, 947 mórg.

1905 r. Maria Jakubowicz jest właścicielem dóbr Bortniki-Jordanów.

1909 r. Jan i Maria z Bohosiewiczów Jakubowiczowie są wł. dóbr Jezierzany.

Jan Jakubowicz jest wł. dóbr Pużniki z Wołoszczyną.

1913-1914 r. Jan Jakubowicz jest wł. dóbr Pużniki i Jezierzany.

Dzieci Jana i Marii: córka Janina ur. 1885, +1980, syn Jakub Andrzej ur. 1887, +1978, syn Julian ur. 1889, +1948.

5. IX. 1916 r. Jakub Andrzej ożeniony z Wandą z Krauzów ur. 1891, +1970, dzieci: syn Jerzy ur. 1924, +1972, córka Wanda Jagiełło.

Julian ożeniony z Anną z Romaszkanów. Dzieci: syn Jan ur. 1919 (?), +1944 r. (Francja), syn Zbigniew ur. 1922 (?).

Jan Jakubowicz z Bortnik miał siostry: Emilia Krzysztofowicz, Antonina Jakubowicz, Hortenzja Kobyłańska, Zofia Łukasiewiczowa, Rozalia.

Jakub Andrzej Jakubowicz ukończył szkoły we Lwowie, maturę zdał w szkole realnej, a w r. 1908 wstąpił na Politechnikę we Lwowie (dwa lata budowy maszyn), od 1910-1914 przebywał na praktykach rolniczych.

Od 1914-1917 w Legionach, zdemobilizowany z powodu odniesionych ran, brał udział w szarży kawalerii pod Rokitną („Apel...”)

Do r. 1920 zarządza majątkiem Młyniska, pow. Żydaćców,

1920-1927 zarządza majątkiem Żukocin, pow. Kołomyja,

1927-1939 zarządza majątkiem Żuków, pow. Horodenka (po śmierci ojca Jana jest właścicielem wsi Bortniki).

W październiku 1939 r. aresztowany przez władze sowieckie, przebywa w areszcie w Tłumaczu, potem w Stanisławowie. Skazany na 5 lat ciężkich robót, wywieziony do Kazachstanu, ZSRR. W 1941 r. wstępuje do Wojska Polskiego w Tockoje koło Bożutuku. W 1942 r. z wojskiem gen. Andersa przechodzi do Persji (Iranu) – Iraku–Palestyny–Egiptu. Od 1942 r. przydzielony do 6 Dyw. Piech. Lwowskiej, 6 Sąd Polowy, potem pracuje jako kierowca w polskiej „YMCA” przy II Korpusie we Włoszech. 7. IX. 1946 r. wraca do kraju. Zarejestrowany w RKU w Nysie jako plutonowy.

Od 1. X. 1946 do 1950 pracuje w Rudziszkach koło Prudnika.

1950-1953 w PGR Dąbrówka

1953-1955 r. jako mł. księgowy w PGR Rudnia

1955-1965 r. jako kierownik gospodar. PGR Dąbrówka-Rudnia.

Od 1. I. 1965 przechodzi na rentę. W rolnictwie przepracował przed wojną 17 lat, w wojsku był 5 lat, po wojnie w rolnictwie 18 lat. Razem 40. Zmarł w wieku 90 lat.



W Jaremczu na moście – 1938 r. Grupa dziedziców z Pużnik, Bortnik i Jezierzan. Pierwszy z prawej J. A. Jakubowicz – autor pamiętnika (Zdjęcie ze zbiorów Kr. Wójtowskiak)

Ze wspomnień małolata (c.d. – V)

Tadeusz Bodniak

Ofensywa wojsk radzieckich zbliżała się do linii Wisły. Radio BBC donosiło o zrywie powstańczym Warszawy i toczonych walkach przez AK. Szeptekita (naczelnik miasta) wraz z garstką NKWD umacniali władzę radziecką w mieście i okolicy organizując życie społeczności wg „jedynie słusznych” założeń. Rzemieślnicy, w tym mój ojciec, wcieleni do „Artilu” zdobywali pierwsze środki do życia w postaci „karbowanów”, za które nie bardzo było co kupić w pustych sklepach.

Grabiona wieś obowiązkowymi dostawami ubożała. Dla grabionych zmienił się tylko grabieżca i forma gospodarowania, którą dotkliwie przez szereg późniejszych lat odczuli mieszkańcy tych ziem.

Po wielu miesiącach wymuszonego wojną wagarowania wznowiono zajęcia w szkole z polskim językiem nauczania. Budynek z dwoma lub trzema salami mieścił się przy ul. Kolinieckiej naprzeciw parku miejskiego, w którym spędzaliśmy przerwy walcząc kasz-

tanami. Wychowawca nasz p. Macek (wysoki, łysy, w okularach) wraz z gronem nauczycielskim (nazwisk nie pamiętam) pomagali w nadrobieniu zaległości naszej wiedzy. Względny spokój w życiu miasta nie trwał jednak długo. Z okolicznych wiosek zaczęły napływać coraz bardziej dramatyczne wiadomości o nasilających się porwaniach, podpaleniach i makabrycznych mordach na zamieszkałych tam rodzinach polskich.

W Pałahiczach, wiosce najbardziej mi bliskiej ze względu na urodzenie i spędzone tu dzieciństwo, dokonano barbarzyńskiego mordu przez spalenie w stodole żywcem znanych mi osób: żony i córki p. Sabatowicza, żony p. Woroszczuka (przedwojennego wójta). Wydarzenia te i im podobne w Niżniowie, Kłubowcach, Oknianach spowodowały porzucanie przez Polaków swoich domostw na wsiach w poszukiwaniu schronienia wśród rodaków w mieście. Legalne władze nie miały siły, może i woli, zdecydowanego przeciwdziałania szerzącemu się barbarzyństwu i zdziczeniu. Organizowane sporadycznie wyprawy na poszukiwanie band były jedynie demonstracją swojej obecności i okazją uzupełnienia swoich spiżarni konfiskowanym bimbrem i wieprzowiną.

Z okolicznych wiosek zaczęła uciekać ludność polska donosząc o porwaniach, podpaleniach i makabrycznych mordach.

Nastroje wśród Polaków były coraz gorsze. Bano się zmasowanego ataku na miasto okolicznych nacjonalistów i rzezi bezbronnej ludności. Zbiorowy mord czterdziestu kilku mieszkańców narodowości polskiej w Nadorożnej potwierdzał te obawy. W jedną z nocy na początku listopada miastem wstrząsnęły wybuchy, salwy karabinów i rac świetlnych. Z rodziną Zajączkowskich (u których mieszkaliśmy) uciekliśmy na strych domu. Ulicą Grunwaldzką (od Słobódki) i pod naszym domem przemieszczały się postacie, strzelając w górę i siejąc niepokój wśród mieszkańców. Po niespokojnej nocy w mieście nie stwierdzono pożarów ani zbrodni zabójstwa. Była to jedynie demonstracja siły wobec legalnych władz i próba zastraszenia „lachiw”. Następne noce spędzaliśmy w domu (kamienicy) pana Zdanowicza w centrum miasta. Wiele polskich rodzin organizowało się do ewentualnej samoobrony „kombinując” od Rosjan broń i granaty. Strychy ciągu kamieniczek łączono przejściami. Mężczyźni pełniąc dyżury czuwali nad bezpieczeństwem dzieci i kobiet zgromadzonych w „warowni”. W nocy 11 listopada (jakaż to wymowna data naszej państwowości!) w mieście rozgorzała strzelanina podobna do wcześniej opisanej. Na ulicach nawoływania i rozkazy „persza i tretia sotnia w pered...”, serie karabinów maszynowych, rozbłyski petard i rac świetlnych. Błysk i potężny wybuch wstrząsnął okolicznymi zabudowaniami. Nasi dyżurni prowadząc obserwację wydarzeń ze strychu donoszą o pozorowaniu walki i improwizacji; bo napastnikom nikt nie stawiał oporu. Po dwóch godzinach wyreżyserowanej scenerii frontowej strzały ucichły. Na szczęście i tym razem oszczędzono złego losu skupisku zamieszkałych Polaków. Efektem nocnej napaści było rozbięcie budynku więziennego, uwolnienie „swoich” i rozstrzelanie trzech osób tam więzionych. Efekt psychologiczny był bardziej dotkliwy i wywarł

ogromnie negatywny wpływ na nastroje wspólnoty polskiej. Utracono wiarę w pomoc skądkolwiek. Krążąca plotka, która z czasem stała się faktem, o zamiarze podziału obszaru Polski przez możnych tego świata dołała goryczy. Podstępna śmierć czyhała na każdym kroku, tym bardziej, że Ojciec mój, wówczas 36-letni mężczyzna, jak wielu innych, zaangażował się do nieznannej mi organizacji samoobrony. Pod koniec listopada, pozostawiając cały dobytek, potajemnie wyjechaliśmy do Stanisławowa i zamieszkaliśmy na Górcie przy ul. Jasnej, czyniąc starania repatriacji do centralnej Polski. Zamieszkaliśmy w bardzo skromnych warunkach, w drewnianym domu. Brak opału i środków do życia roztaczał przed nami scenariusz biedy i rozpacz. Celem zdobycia podstawowych art. spożywczych kilkakrotnie zabierałem się wojskowymi samochodami (autostopem) z ul. Sapieżyńskiej do Tłumacza. Tu dokonywałem wymiany z chłopami na środowym targu pozostawionych przez nas mebli i sprzętu domowego za mąkę, kartofle, słoninę, często symboliczne ilości, które pozwoliły jednak spędzić święta Bożego Narodzenia przy zastawionym stole i trudny okres przystosowania się do niezwykłych warunków (obecnie nie wyobrażam sobie 12-letniego chłopca w takiej roli). W mroźny dzień 15 stycznia 1945 jednym z pierwszych transportów w towarowym wagonie wyjechaliśmy w nieznaną. Po tygodniu podróży wysiedliśmy na stacji Rzeszów-Staroniwa z ręcznym bagażem. Tereny zachodnie Polski trwały jeszcze w pożodze wojennej. Tu poznałem smak bezpiecznie przesypianych nocy i przychylności otaczającego świata, tu też poznałem gorycz tęsknoty za ziemią swego urodzenia. W Rzeszowie spotkaliśmy wielu Tłumaczan przybyłych wcześniej: Mercik, Łapkowski, Zbudowski, Panek, którzy od pierwszych dni służyli nam radą i pomocą w nowym świecie. W marcu rozpocząłem kontynuację nauki w piątej klasie szkoły podstawowej im. H. Sienkiewicza. Braki i zaległości miałem ogromne we wszystkich przedmiotach. Wyrozumiałość i praca grona nauczycielskiego pomogła mi ukończyć podstawówkę, zdać egzamin wstępny do Gimnazjum Przemysłowego przy Państwowych Zakładach Lotniczych. Jesienią 1947 rodzice ze względu na b. skromne warunki mieszkaniowe wyjechali do Wrocławia, ja pozostałem na tzw. prywatnej stacji aż do ukończenia Gimnazjum. Okres ten był dla mnie doskonałą lekcją samodzielności i odpowiedzialności.

W 1950 r. dołączyłem do rodziców we Wrocławiu. Tu przestałem być małym dzieckiem osiągając wiek seniora. Wyrzucenia moje widziane i odczuwane duszą małego dziecka zawierają zapewne nieścisłości na skutek zacieraającej się pamięci obrazów po prawie 60 latach od tamtych wydarzeń.

Rodzina Bodniaków przetrwała apokalipsę XX wieku. Umocniła się i rozrosła. Ci, którzy nauczyli mnie patriotyzmu, miłości do ziemi ojców i dźwigali ciężar trudnych lat, przeszli na „drugi brzeg”. □

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (c.d.)

Ks. Lesław Jeżowski

Ulubione dzieła sztuki

Ks. Witkowski miał kilka ulubionych dzieł sztuki związanych z chrześcijaństwem. Posiadał ich reprodukcje i starał się je popularyzować. Do takich należała w pierwszym rzędzie rzeźba Stefana Maderny przedstawiająca św. Cecylię. Będąc jeszcze jako student teologii w Rzymie, Ksiądz widział ją w kościele na Zatybrzu, a wierną jej kopię w katakumbach św. Kalikata i wyjątkowo spodobała się Mu od pierwszego wejrzenia. Rzeźba przedstawiała św. Męczennicę w chwilę po zgonie. Leżała na boku, z twarzą zwróconą ku ziemi. Na szyi widniało uderzenie miecza. Bezwładne ręce z wyciągniętymi palcami osunęły się na dół. Ks. Witkowski posiadał oprawioną fotografię dzieła Maderny w swoim mieszkaniu i według niej polecił sporządzić obraz, który umieścił pod mensą ołtarza w kaplicy sodalicyjnej w budynku Sokoła.

Miał zamiar pokryć ściany tejże kaplicy malowidłami, które byłyby wzorowane na rysunkach zdobiących puštětowskie wydanie brewiarza rzymskiego. Rysunki te, chociaż nie posiadające większej wartości artystycznej, bardzo lubił, bo wyrażały i uplastyczniały szczerą wiarę i prawdziwą pobożność. Nieraz wskazywał mi jakiś szczegół brewiarzowej grafiki i zamyślony komentował go. Np.

– Popatrz, jak ten anioł cierpi, gdy patrzy na Ukrzyżowanego Pana Jezusa. Jaka boleść w jego spojrzeniu, w ugięciu szyi, w ruchu ręki.

– To dziecko tak patrzy na niesioną w procesji monstrancję, jak musiały patrzeć na Pana Jezusa żydowskie dzieci, gdy przygarniał je do siebie.

Ze swojej podróży do Rzymu i zwiedzania muzeum watykańskiego Ksiądz zapamiętał szczególnie obraz Fr. Lippiego przedstawiający adorację Dzieciątka przez Matkę Bożą. Mówił, że oryginału nie potrafią oddać żadne reprodukcje. Zwłaszcza kolorytu płótna. Gdy wyjeżdżałem do Rzymu zachęcał mnie do szczególnie uważnego przyjrzenia się wspomnianemu obrazowi.

Kochał Rafaela. Uważał go za niedoścignionego mistrza w ukazywaniu subtelnej piękności kobiecych twarzy. Gdy w czasie swojego administrowania parafią w Mariampolu zetknął się z tamtejszym obrazem Matki Bożej, zaczął snuć hipotezę, której potwierdzenia szukał później we Wrocławiu u historyków sztuki, że jest on dziełem Rafaela lub jakiegoś mistrza z jego kręgu.

Jeszcze o miłości Kościoła

Ks. Witkowski, co już mocno zaznaczyłem, bardzo miłował Kościół katolicki. Uważał go za swoją najlepszą matkę. Umiał na lekcjach religii, a szczególnie w rozmowach, delikatnie uzewnętrzniać swoje uczucia. Z przeszłości i terażniejszości Kościoła wydobywał i naświetlał fakty, które świadczyły o jego wielkości i mądrości. Ogromną miłością darzył Ojca św.; miał do niego stosu-

nek naprawdę synowski. Ucząc o papieżach, którzy ujemnie zapisali się w dziejach, starał się odkryć w nich wartości pozytywne. Cieszył go każdorazowy triumf papieży nad władcami świeckimi. Lubił do końca życia przy nadarzających się sposobnościach cytować zdanie zaczerpnięte ze średniowiecznej kroniki opisującej konflikt Fryderyka Barbarossy z Aleksandrem III. Zwyciężony cesarz był raz zmuszony według obowiązującego ceremoniału przytrzymać strzemień wsiadającemu na konia papieżowi, który udawał się do kościoła na dziękczynne nabożeństwo. Wtedy Fryderyk wyrzekł do Aleksandra III słowa:

– Non tibi, sed Petri.

Papież odpowiedział:

– Et Petri et mihi.

Umiłowanie brewiarza

Spomiędzy wielu rodzajów modlitwy ks. Witkowski najwięcej cenił modlitwę brewiarzową. Ze skupieniem i zamiłowaniem odmawiał psalmy, znajdując w nich głębię myśli i piękno formy. Z zamieszczonych w brewiarzu tekstów Pisma św. i Ojców Kościoła, życiorysów świętych umiał wydobywać wskazówki dla swojego osobistego postępowania i formowania charakteru swoich wychowanków. Zwrócił mi raz uwagę na modlitwy brewiarzowe. Ich jasność, zwięzłość w przedstawieniu Bogu stanu i potrzeb człowieka przeciwstawił rozwlekłości i mętnemu sentymentalizmowi niektórych modlitw znajdujących się w książeczkach do nabożeństwa.

Z brewiarzem Ksiądz się nigdy nie rozstawał. Nosił go w swej czarnej teczce, której nie zamykał i trzymał pod pachą w drodze do kościoła i do szkoły. Często odmawiał go, chodząc po alejach parku, w ogrodzie przy bursie, wokół kościoła parafialnego. Modlił się z brewiarza i wtedy, gdy chory leżał w łóżku. Do bliższych sobie uczniów mawiał, że brewiarz daje siłę i radość. Jest też tak wspaniałą lekturą, że błędą przy niej inne teksty. Raz na lekcji, ucząc nas o modlitwie, przytoczył słowa Pana Jezusa: Oportet semper orare et numquam deficere. Wydawało mi się wtedy, że Ksiądz przede wszystkim sam stosuje się do tego polecenia. Całe swoje życie, wszystko co czyni traktuje jako modlitwę.

W swojej bibliotece posiadał wyborową literaturę ascetyczną, a wśród niej opracowania rozmyślań, z których korzystał. Podobały się Mu Rozmyślenia o Ewangelii bpa Otokara Prohaszki.

Moje kontakty z ks. Witkowskim podczas wojny

Gdy z końcem września 1938 r. wyjechałem z Tłumacza do Seminarium Duchownego we Lwowie, mój bliski kontakt z Księdzem przerwał się. Wymienialiśmy tylko grzecznościową korespondencję z okazji świąt i imienin. Mnie, jako alumnowi, nie wolno było poza wakacjami letnimi, odwiedzać swoich Rodziców, a Ksiądz

nie miał zwyczaju przyjeżdżać do Lwowa. Zobaczyłem się z Nim dopiero we wrześniu 1939 r., gdy powróciłem do domu z wakacji już po wybuchu wojny. Ks. Profesor przewidywał zaatakowanie Polski również przez Związek Radziecki, o czym mówił już dawniej. Gdy ten fakt rzeczywiście nastąpił w niedzielę 17. września i wojska sowieckie pojawiły się w Tłumaczu za dwa dni, dopiero po częściowym ochłonięciu z tej tragedii spotkaliśmy się znowu u ks. Tabaczkowskiego na plebanii. Wojna i związane z nią nasze osobiste przeżycia spowodowały, że brakło przy naszym widzeniu się dawnej bezpośredniości i serdeczności. Byliśmy całkowicie zaabsorbowani nieszczęściem naszej Ojczyzny.

Zdaje się, że ks. Witkowski usunięty z bursy zamieszkał na plebanii. Później, pozbawiony możliwości wykonywania swych funkcji nauczycielskich, otrzymał administrację parafii w Mariampolu, dokąd się przeniósł.

Ja przebywałem we Lwowie. Nie starałem się o nawiązanie łączności z Księdzem, nie chcąc sprawiać wrażenia, że szukam u Niego pomocy w swoich, nadzwyczaj wówczas trudnych, warunkach materialnych.

Ks. Witkowski w Głubczycach

Gdy rozpoczęło się masowe wysiedlanie Polaków z województw wschodnich, ks. Witkowski razem ze swoimi parafianami wyjechał z Mariampola do Głubczyc na Śląsku. Tam zamieszkał w budynku przy kościele parafialnym, wykonywał posługi duszpasterskie, a na niedzielę i sąsiadujące z nią dni udawał się do pobliskich Zawiszyc, pozbawionych kapłana. Właśnie w Zawiszycach nastąpiło moje pierwsze po wojnie spotkanie z ks. Profesorem.

Doszło do niego w ten sposób, że Ksiądz przeczytał podpisane przeze mnie nazwiskiem i początkową literą imienia ogłoszenie w „Gościu Niedzielnym” w sprawie pomocy naukowych potrzebnych studiującym w Krakowie klerykom. Napisał wtedy na podany w ogłoszeniu adres zapytanie, czy sygnujący je ma coś wspólnego z Lesławem Jeżowskim z Tłumacza? Odpisałem, że przecież to ja, Jego uczeń, dałem ten anons do „Gościa Niedzielnego”. Ksiądz zaprosił mnie do Głubczyc, dokąd pojechałem na wiosnę 1947 r. Nie zastałem ks. Witkowskiego w mieście. Przebywał w Zawiszycach. Poszedłem tam pieszo. Zobaczywszy Księdza po ośmiu latach, stwierdziłem, że prawie się nie zmienił. Tylko Jego odzież była zaniedbana. Sutanna wyglądała okropnie. Wyjaśnił mi, że dawne uległy zniszczeniu, a tę, którą nosił, uszyła Mu jakaś kobieta w Zawiszycach. Tematów do długich rozmów nie brakło nam.

Gdy razem wróciliśmy do Głubczyc, Ksiądz zwrócił mi uwagę na obraz M. B. z Mariampola, który wisiał w Jego pokoju nad łóżkiem. Opowiedział mi jego dzieje. Z różnych napomknien wywnioskowałem, że Ksiądz dobrze się czuł w Mariampolu jako proboszcz. Może lepiej niż jako katecheta gimnazjalny w Tłumaczu?

Spotkania we Wrocławiu

Moje następne widzenie się z Księdzem odbyło się we Wrocławiu w 1952 r. Mieszkał tam u SS Nazaretanek, które prowadziły Dom dla starców. Był ich kapłanem. Oprócz tego wykładał we wrocławskim Seminarium Duchownym Stary Testament i język hebrajski. W ciągu kilku lat, które minęły od czasu, gdy widziałem Go w Głubczycach, Ksiądz zmienił się fizycznie, przytył, palił papierosy. Żartobliwie narzekał na zakonnice,

które obarczały Go codziennymi nabożeństwami wieczornymi. Mawiał im:

– Dajcie trochę odpocząć Panu Jezusowi. Ciągłe Go męczycie tymi nabożeństwami i adoracjami.

Razem z ks. Witkowskim jadał posiłki ks. Henryk Grządzych, też wykładowca w Seminarium Duchownym, a później biskup sufragan w Opolu. Ks. Witkowski bardzo go cenił, uważał za wzorowego kapłana i mądrego teologa. Ujemnie natomiast wyrażał się o ks. Lagoszu, wrocławskim wikariuszu kapitulnym, który zaprosił Go do osiedlenia się we Wrocławiu i powierzył Mu wykłady w Seminarium. Ksiądz uważał ks. Lagosza za grubianina, despotę i unikał z nim wszelkich bezpośrednich spotkań. Ale pewnego wieczoru nieoczekiwanie do niego doszło. W ogrodzie domu, gdzie Ksiądz mieszkał. Kamienicę tę, własność diecezji, przeznaczono na mieszkania dla księży profesorów seminaryjnych. Ks. Witkowski zajął cztery pokoje z kuchnią i łazienką na parterze. Do obszernego pomieszczenia przyjął swoją siostrę i jej zamężną córkę, które nie mogły znaleźć we Wrocławiu odpowiedniego locum. Dokąd ks. Profesor wykładał w Seminarium, Kuria tolerowała obecność Jego rodziny w mieszkaniu. Ale po przejściu Księdza w stan spoczynku, domagano się opróżnienia pokoi. W odpowiedzi ks. Witkowski podał racje, dlaczego nie może tego uczynić. Nie przekonały one jednak ks. Lagosza. Podenerwowany przyszedł sam do ks. Witkowskiego i gwałtownie domagał się zwolnienia mieszkania. Wymachiwał przy tym trzymaną w ręce laską. Gdy słowa jego nie odnosiły pożądanego skutku, zamierzył się na ks. Profesora, chcąc Go uderzyć. Tego już było opamięnanemu ks. Witkowskiemu za dużo. Chwycił laskę, wyrwał ją ks. Lagoszowi i odrzucił daleko. Napastnik zaniemówił z wrażenia, a ks. Witkowski spokojnie poszedł do swego mieszkania.

Na suitek pewnej postawy ks. Witkowskiego, z którą nie mogłem się zgodzić, przestałem na dosyć długo odwiedzać Go we Wrocławiu. Zjawiłem się u Niego ponownie w 1965 r. Mieszkał już razem ze swoją rodziną przy placu Katedralnym nr 6. Gdybym nie wiedział wcześniej, że tam Go znajdę, nie byłbym Go poznał, gdy otworzył mi drzwi. Bardzo się postarzał, zupełnie posiwiiał, ale przede wszystkim ogromnie zeszcupiał. W ruchach nie był już tak sprawny, jak dawniej. Długo nie mogłem się oswoić z myślą, że ten wysuszony staruszek to naprawdę ks. Witkowski. Ale umysłowo Ksiądz pozostał sobą.

Od ponownego nawiązania łączności z księdzem Doktorem utrzymywałem ją odtąd stale aż do Jego zgonu. Odwiedzałem Go ilekroć przyjeżdżałem do Wrocławia. Za każdym razem podziwiałem Jego sprawność intelektualną. Ani śladu sklerozy. Interesował się wszystkim, ale szczególnie teologią. Żalił się, że nie ma z kim rozmawiać na jej temat. Starsi księża umarli, a młodszych zagadnienia teologiczne nie interesują. Prosił, abym relacjonował Mu nowe poglądy teologów, ale gdy to czyniłem, na ogół nie akceptował ich, wytykając sprzeczność, jaka zachodziła między nimi a Objawieniem oraz słabość, a nawet fałsz argumentacji.

Pewne teologiczne poglądy Księdza

Kilkakrotnie zdradził się z własnymi, oryginalnymi koncepcjami teologicznymi. Jedna z nich dotyczyła św. Józefa, Jego domniemanego ojcostwa wobec Pana Je-

zusa. Według ks. Doktora Pan Bóg, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych, mógł użyć nasienia św. Józefa, aby z niego wyprowadzić w łonie NMP ciało Jezusowe. Działoby się to za sprawą Ducha św., w zaćmieniu Nie-naruszonej Dziewicy, nigdy nie znającej Męża. Wtedy nabierałby realnego znaczenia rodowód Chrystusa Pana podany w Ewangelii. Pan Jezus byłby rzeczywiście Synem Dawidowym, na którym spełniły się starotestamentalne prorocтва.

Ciekawie określał ks. Profesor kapłaństwo Matki Bożej. Uważał, że pochodziła prawdopodobnie z pokolenia Aarona lub Lewiego, formalnie należała więc do pokolenia kapłańskiego. Realnie pełniła funkcje kapłańskie, ofiarując Bogu swego Syna na Kalwarii. Zasłużyła na pochwałę Pana Jezusa, bo pierwsza słuchała słowa Bożego. Quinimmo – greckie men age – w znanym tekście ewangelicznym ma znaczenie twierdzące.

Ksiądz uważał, że za mało akcentuje się dziś poznanie Boga jako Dobra. Arystotelesowska teza musi być obecnie uaktualniona, gdy obserwuje się kryzys rozumowych poszukiwań Boga. Rozumem bowiem nie można nikomu Boga udowodnić; gdyby było inaczej, wierzący nie traciliby wiary, tak jak nie traci się przekonania, że 2×2 równa się 4, jeżeli tę prawdę zrozumie się i pojmie.

Ksiądz nie był zachwycony nowym sposobem katechizowania. Obserwował jego rezultaty u swoich małych krewnych. Może pociągający w teorii, praktycznie nie zdawał egzaminu.

Żałowałem, rozmawiając i słuchając ks. Witkowskiego, że nie rozporządzam dobrym, małym magnetofonem, który gdzieś ukryty nagrywałby Jego wypowiedzi. Przy widocznym, dużym aparacie Ksiądz nie zgodziłby się mówić. To, co dzisiaj potrafię zanotować z naszych rozmów, już sprzed lat, nie jest nawet wyrazistym śladem myśli ks. Witkowskiego. Tym więcej mi żal, ponownie żal, że Ksiądz niczego nie napisał i do końca swego życia nie przełamał awersji do publikowania.

Równie cenną usługę jak magnetofon, oddałby przy moich spotkaniach z Księdzem magnetowid. Lubiłem patrzeć na Niego, gdy zaczynał mówić o Panu Bogu i stopniowo rozwijał temat. Jego twarz, spokojna i wyrażająca pewne zainteresowanie moją obecnością, ożywiała się, oczy zaczynały patrzeć gdzieś w nieokreśloną dal poza mną czy ponad mną, pojawiały się w nich niezwykle blaski, lśniące jak u młodego człowieka, usta układały się w uśmiech szczęścia, który można czasem obserwować u spotykających się z kimś jedynym i ukochanym.

Aby zaspokoić swoje pragnienie słuchania i mówienia o „wielmożnych sprawach Bożych” (jak to staropolskie określenie harmonizuje z duchowością ks. Witkowskiego) brał udział w zebraniach kapłańskich omawiających problematykę teologiczną. Z zainteresowaniem przysłuchiwał się prelegentom i prawie zawsze, jak opowiadali mi uczestnicy tych spotkań, zabierał głos w dyskusji, zadziwiając obecnych trafnością swoich spostrzeżeń.

Przez pewien czas głosił co niedzielę kazania na Mszy św. o 12 g. w kościele św. Stanisława bpa. Spotykały się ona z żywym oddźwiękiem tak ze strony ludzi wykształconych, dla których były przede wszystkim przeznaczone, jak i ogółu wiernych. Opierały się na Piśmie św. i Tradycji, ale mocno wchodziły w codzienną rzeczywistość słuchaczy i aktualną sytuację społeczną.

Zainteresowanie Księdza u schyłku życia

Pan Bóg, teologia – to były główne zainteresowania Księdza u schyłku Jego życia, niezmiennie od młodości, ale nie jedyne. Zajmowało Go wszystko, czym żył świat, do czego dążyli ludzie. Czytał codzienną prasę, czasopisma, słuchał radia, oglądał telewizję. Ilekroć byłem u Niego prosił, aby Mu opowiedzieć o wszystkim, co warto poznać. Usłyszychymy wieści nie zapomniał, jak inni ludzie w Jego wieku, powracał do nich przy okazji. Nie zapomniał też posiadanych umiejętności lingwistycznych.

Gdy raz rozmawialiśmy o starożytnej Grecji i jej kulturze, zaczął cytować á propos fragmenty z Sofoklesa i Ajschylosa. Zauważyłem, że jest zadowolony ze swej pamięci. Gdy skończył przypominany tekst, wyrwało się Mu zwierzenie:

– Jaki piękny jest ten język ojczysty Homera. Ja chyba jeszcze dziś umiem po grecku tak, jak po polsku.

Zafascynowanie polskością

Wszystko co polskie, język, kulturę, historię kochał niezwykle. Fascynowało go oddziaływanie polskiej kultury na naszych wschodnich sąsiadów:

– Nie podbijaliśmy ich, nie zniewalali, sami szli do nas i polszczyli się.

Podziwiał witalność naszego narodu. Żadna przemoc nie może go zniszczyć. Odradza się, jak Feniks z popiołów. Sądzą wrogowie, że zabili już ducha polskiego, a on nagle ujawnia się i to z taką mocą, iż muszą przed nim pierzchać.

Niechęć do metropolity Andrzeja Szeptyckiego

Dlatego, że był zafascynowany wprost polskością, nie mógł zrozumieć i przebaczyć renegatom. Za takiego uważał poprzedniego metropolitę lwowskiego obrządku grecko-katolickiego Andrzeja Szeptyckiego. Całe dzieje odstępstwa tego biskupa doskonale pamiętał. Zbierał do nich materiały od swoich czasów studenckich. Mówił mi, że gdy jeszcze był na studiach w Innsbrucku, Szeptycki zjawił się tam z jakiejś okazji. Zrobił na wszystkich niemiłe wrażenie. Nawet swoją fizjonomią. Jeden Niemiec, kleryk, zwrócił uwagę na podobieństwo Szeptyckiego do Judasza, przedstawionego na jednym z obrazów w budynku jezuickiego konwiktu. I od tej chwili zaczęto go po cichu tak nazywać. Inny epitet przykleił Szeptyckiemu brat cara Mikołaja II, wielki książę Włodzimierz. Stało się to wtedy, gdy armia rosyjska podczas I wojny światowej zbliżała się do Lwowa. Szeptycki wystosował do cara wiernopoddańczy adres, widząc w nim obrońcę wiary i protektora narodu ukraińskiego, w którym ten pokłada całą swoją ufność. Gdy wielki książę zapoznał się z treścią pisma, wyrzekł słowa:

– A to żmija.

Znał bowiem inny dokument, który Szeptycki przekazał wcześniej cesarzowi austriackiemu Franciszkowi Józefowi I o treści niemal identycznej co adres skierowany do cara.

Żmijowaty charakter lwowskiego władcy miał się jeszcze raz objawić w podobnych pismach, ale już podczas II wojny światowej. Gdy Niemcy w 1941 r. zajęli Lwów, witał ich jako oswoobodzicieli spod bolszewickiego jarzma. Hitler urastał niemal do rangi męża opatrnościowego. Za kilka lat, po wycofaniu się Niemców, takim samym stał się Stalin. Z kolei do niego Szeptycki słał listy, widząc w nim pogromcę brunatnej bestii hitlerizmu i gwaranta wolności narodu ukraińskiego. (c.d.n.)

Z życia Tłumaczan

Nasze strony

Danuta Tabińska-Juhasz

Rok 2001 dobiega właśnie końca.

Miałam w tym czasie szczęście aż trzy razy odwiedzić nasze strony:

1. Okres Świąt Wielkanocnych – akcja charytatywna – 10-18 IV 2001.

2. Obchody 470 rocznicy (27 VIII 1531) zwycięskiej bitwy pod Obertynem – 19-24 VIII 2001.

3. Obchody 260 rocznicy urodzin (4 X 1741) Franciszka Karpińskiego, wielkiego polskiego poety doby oświecenia, wybitnego syna Ziemi Pokuckiej – 25-29 XI 2001.

ad. 1) Świąta Wielkanocne spędziłam w Stanisławowie biorąc udział w konwoju charytatywnym zorganizowanym przez Wrocławską Telewizję, Czerwony Krzyż i Fundację Kresową „Semper Fidelis”.

Trasa biegła poprzez Lwów, Stanisławów, Kołomyję, Śniatyn, Tarnopol, Buczacz, Kamieniec Podolski itp. Wszędzie obdarowani zostali nasi Rodacy, którzy tam pozostali, bardzo potrzebujący pomocy i wyrazów naszej pamięci. Ograniczę się tylko do wspomnień z pobytu w Stanisławowie i Tłumaczu.

Podobnie jak opisywałam akcję charytatywną – Świąta 2000 – w ZT nr 1/21, paczki żywnościowe przygotowywane były przez członków Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń” z pieniędzy zebranych przez Fundację i oddanych im na ten cel. Oprócz przygotowanych 250 paczek żywnościowych zorganizowaliśmy święcone na 120 osób w sali Domu Parafialnego przy kościele Chrystusa Króla w Stanisławowie.

W drugim dniu Świąt po mszy ks. proboszcz Kazimierz Halimurka zaprosił parafian-Polaków, starszych, samotnych na tradycyjne wspólne Świącone.



Fot. Zb. Umański

Ks. K. Halimurka i autorka witają Rodaków na świąconym w Stanisławowie (kwiecień 2001 r.)

Po oficjalnych powitaniach, z wielkim wzruszeniem dzieliliśmy się święconym jajkiem, życząc sobie nawzajem zdrowia. Stoły były obficie zastawione wędliną, różnymi pysznymi sałatkami i wyborym świątecznym pieczywem. Stanisławowianie chętnie wypowiadali się przed kamerą telewizyjną pozdrawiając, względnie poszukując swojej rodziny zamieszkałej w Polsce, co mogliśmy potem oglądać w Dolnośląskim Magazynie Telereporterów redaktor Grażyny Orłowskiej-Sondej.

Były jeszcze wspólne śpiewy i lzy pożegnania, a każdy wychodząc otrzymywał paczkę żywnościową. Chorym i nieobecny paczki zostały odwiezione do domów.

Do Tłumacza wybrałam się w Wielką Sobotę ciesząc się ładną wiosenną pogodą, która towarzyszyła mi przez parę godzin pobytu w naszych rodzinnych stronach. Na przewodnika znowu zaprosiłam Joasię Wasylyszyn-Nowicką, która mieszka przy wjeździe do Tłumacza. Pozostała ona sama w dużym rodzinnym domu, mąż zmarł, a dzieci wyjechały. Na moją uwagę, że powinna dom wynająć, uśmiechnęła się tylko twierdząc, że tu nikt nie przyjeżdża, wszystko jest likwidowane, trwa wielkie bezrobocie. Młodzi gremialnie wyjeżdżają w poszukiwaniu pracy, głównie do Polski, ale też do Słowacji, Węgier, Białorusi i Rosji.

Od Joasi dowiedziałam się o śmierci Nadzi Nirna-Sak. Pamiętam jak nas wiele razy serdecznie gościła w swoim małym domku, tonącym w kwiatkach przy ulicy Słowackiego. Odwiedziliśmy kilka tłumackich domów zamieszkałych przez mieszane rodziny pochodzenia polskiego. Pozostały właściwie już tylko starsze kobiety, samotne i schorowane. Ze łzami wzruszenia przyjmowały one tę pomoc świąteczną w postaci kilkudziesięciu hrywien, życząc nam w kraju zdrowia za nasze dobre serca i pamięć.

Nowo wybudowana w Tłumaczu cerkiew greckokatolicka była nareszcie otwarta i mogłam zwiedzić jej olbrzymie wnętrza. Jest wybudowana na podstawie krzyża, którego ramiona boczne stanowią duże okrągłe nawy. Robi tu wrażenie przestrzeni i światła. W tym roku kalendarz gregoriański wskazywał termin Świąt Wielkanocnych wspólnie z naszymi Świątami. Na środku cerkwi, na podłodze, w kwiatkach był wystawiony duży krzyż, do którego prowadził od wejścia chodnik. Ludzie posuwali się na kolanach całując Ukrzyżowanego i składając pieniężną ofiarę na rozłożonych po obu stronach tacach.

Uwagę moją zwróciła w lewej nawie stojąca figura Matki Boskiej Fatimskiej. Jest to ta sama, którą ks. Pławiuk sprowadził w latach trzydziestych do ukraińskiej bursy, a ks. L. Jezowski to wydarzenie dokładnie opisał w ZT.

Tak się złożyło, że wspomnienia z Świąt Wielkanocnych przekazuję dopiero w numerze ZT „Bożonarodzeniowym”. Natomiast zaniósł się, że na Wielkanoc 2002 przekażę Czytelnikom ZT wrażenia z wyjazdu charytatywnego na Świąta Bożego Narodzenia 2001, do którego właśnie szykuję się.

ad. 2) Uroczystości związane z obchodami 470 rocznicy bitwy pod Obertynem odbyły się tam 22. 08. 2001 r. Organizatorami byli: Wspólnota Polska z Warszawy reprezentowana przez prof. Ryszarda Brykowskiego, Towarzystwo Kultury Polskiej im. F. Karpińskiego ze Stanisławowa i władze miejskie Obertyna i powiatowe Tłumacza. Na uroczystości te została zaproszona Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” reprezentowana przez autorkę oraz Telewizja Polska z Wrocławia reprezentowana przez red. Grażynę Orłowską-Sondej.

Przebieg tych uroczystości był prawdziwym przykładem ekumenicznym i pojednania polsko-ukraińskiego. W tym uroczystym dniu odbyły się równocześnie msze w kościele rzymskokatolickim i w cerkwi grekokatolickiej, po ich zakończeniu wyszły dwie procesje z chorągwiami i kwiatami, które po drodze połączyły się i razem śpiewając pieśni pobożne, na zmianę w języku polskim i ukraińskim, podążały na wzgórze 359 oddalone od miasta 2 km.

Niedaleko od drogi jest na wzgórzu tym kopiec, na którym osadzono duży żelazny, ażurowy krzyż oraz oryginalną, historyczną tablicę. Powstała ona w 1931 r. ufundowana przez Towarzystwo „Sokół” dla uczczenia 400 rocznicy bitwy pod Obertynem. Ostatnia historia tej tablicy też jest bardzo ciekawa. Odkryła ją Natalia Tomyń, nauczycielka z Obertyna, pochodząca z mieszanej rodziny polsko-ukraińskiej. W pobliskiej wsi, w jednym gospodarstwie ukraińskim, tablica ta uchowała się służąc za wycieraczkę do nóg (mosiężny odlew w kształcie

dużej elipsy z wypukłymi literami). Pani Natalia ze znajomym milicjantem zdołała odebrać tę tablicę i przez 10 lat przechować ją na swoim balkonie.

Jeszcze przed „perestrojką” walczyła ona z ówczesnymi władzami, którzy chcieli urządzić magazyn, skład chemiczny (nawozy sztuczne, amoniak) dla 4 pobliskich kolchozów właśnie w miejscu historycznych kurhanów, gdzie spoczywa 8 tys. poległych w bitwie. Projekt ten był groźny nie tylko już ze względów historycznych, ale i ekologicznych, gdyż miejsce to leży na wododziale Dniestru i Prutu. Te piękne rzeki mogłyby ulec zatruciu. Energiczny protest Natalii i poparcie jej przez pozostałych mieszkańców Obertyna uratowały to piękne historyczne miejsce, gdzie 470 lat temu odbyła się zwycięska i jedna z największych bitew średniowiecza w Polsce.

Rys historyczny opracowany przez ks. A. Górskiego, proboszcza z Kołomyi, i odczytany piękną polszczyzną przez młodzież szkolną w czasie uroczystości poświęcenia kurhanu i odsłonięcia tablicy, przytaczamy w całości:

„Na początku chcemy powrócić do historii z pierwszej połowy XVI wieku, do lat 1530-1531, a szczególnie do pamiętnego dnia 22 sierpnia przed 470 laty.

Pokucie, na którym żyjemy, to przepiękna kraina pomiędzy Dniestrem, a Karpatami, pomiędzy Bukowiną a rzeką Bystrzycą płynącą przez Iwanofrankiwsk (dawny Stanisławów). Krajobraz Pokucia jest bardzo zróżnicowany. Od dalekich widnokręgów rozległych dolin do horyzontów zamkniętych szczybatą linią gór; od równin do malowniczych pagórków i łagodnych lub nagle wrzynających się jarów. Od gwałtownie urwanych ścianek Podkarpacia i kresu opolsko-podolskiego, szeroko otwartych dolin rzek i pól stepowych.

Charakter tych okolic znakomicie uchwycił Wincenty Pol.

„... Kiedys spuścił się ku wodzie, ktoś zajechał niby z góry, skała zębem wzrok ubodzie brzegowiska istne mury. Po nich pruje się zarosł młoda, z nich urwisko skał opadło, na lokatach szumi woda; a Dniestr czysty jak zwierciadło. Lecz gdy wymkniesz się z parowu, skały znikną, szum ustanie, jakbyś był na stepie znou; równo, cicho, znów na łanie...”

Na początku XVI wieku Pokucie miało słaby system obrony, nie tak jak Podole. Zamki w Kołomyi, Śniatyniu, Michalcach, Niżnowie były w gruzach po najazdach moldawskich i tatarskich. Podobnie w Rakowcu, Czernelicy, Pniowie i Nadwórnej. Jedynie zamek w Gwoźdźcu był w dobrym stanie. Należał wtedy do Jana Tworowskiego.

W tym czasie na Pokuciu było 15 miasteczek i około dwustu wsi.

4 grudnia 1530 roku Moldawianie, pod wodzą gospodarza Piotra Raresza, łamiąc układ z Polską, przekroczyli rzeczkę Kolaczyn i zajęli Śniatyn, miasto graniczne Pokucia.

5 grudnia zajęli Zablótów – tu rozdzielili siły; część poszła na Kołomyję zdobywając ją z marszu, reszta na Gwoździec, który padł po czterech dniach oblężenia.

7 grudnia król Zygmunt Stary dowiedział się o zajęciu Pokucia, ale póki co nie podejmował działań. Była zima.

Tymczasem wojska moldawskie łupiły Pokucie, a później Podole. Kanonik płocki Jan Lewicki pisał 19 grudnia z Krakowa do Jana Dantyszka, że: „Raresz próbował także podstępem opanować Lwów i Kamieniec, lecz mu się to nie udało, ponieważ zdrajcy spośród obywateli kamienieckich zostali wykryci i ponieśli karę, sam zaś gospodarz grasuje teraz na Podolu...”

Liczył też gospodarz na pomoc Moskwy i Krymskich Tatarów, ale ta nie przyszła.

31 grudnia koło Żwańca, naprzeciw Chocimia doszło do bitwy hetmana polskiego Koli, z pięć razy liczniejszym wojskiem Raresza. Polacy przegrali bitwę.

Armia Raresza powróciła do Moldawii, ale Pokucie zostało w ich rękach.

Rzeczpospolita zbierała siły powoli. Przygotowywano wojsko zwyciężne. 4 kwietnia kanclerz Szydłowiecki rozmawiał z sultanem Sulejmanem, by ten poskromił swojego lennika. Sultan i wezyr wyrazili pragnienie życia w przyjaźni z królem Polski.

Tymczasem hetman Jan Tarnowski zebrał armię liczącą 6000 ludzi, 5800 koni i 12 dział. Przegląd wojska odbył się w Rohatynie 27 lipca 1531 r.

Tymczasem Piotr Raresz zebrał 20 tysięcy wojska.

Wojsko polskie przepравиło się przez bród na Dniestrze poniżej Koropia, w miejscowości Ścianka, naprzeciw Zaleszy dnia 2 sierpnia. Zaczęło się wyzwolenie Pokucia z rąk moldawskich.

W ciągu kilku dni Pokucie było oswobodzone, ale w Czemiowcach stał już gospodarz z dwudziestutysięczną armią.

12 sierpnia Raresz wysłał z Czemiowiec 6 tysięcy jazdy pod dowództwem Włada, perkulaba chocimskiego i Barnowskiego perkulaba czemiowieckiego dla rozpoznania sił polskich i zdobycia zamku w Gwoźdźcu. 15 sierpnia rozpoczęło się oblężenie gwoździeckiego zamku.

W tym samym dniu dotarła do Krakowa wiadomość, że Piotr Raresz, zebrawszy wojsko i około 50 dział, ciągnie przeciw Koronie.

Tymczasem zamek w Gwoźdźcu bronił się. Obroną dowodził Maciej Włodek. Wróg miał 30-tokrotną przewagę.

Hetman Tarnowski przybył z odsieczą i stanął w Winogradzie. 19 sierpnia strażnik polny koronny Mikołaj Sieniawski poprowadził do zwycięskiej bitwy, pod murami zamku w Gwoźdźcu, część wojsk hetmańskich. Zginęło około 2 tysięcy moldawian. Reszta w popłochu wróciła do Czemiowiec.

Hetman będąc przekonany, że rozbił główne siły wroga, nie mając pozwolenia na przekroczenie granicy moldawskiej, po dwudniowym odpoczynku zarządził odwrót.

21 sierpnia stanął w Obertynie i zaczął pisać list do króla Zygmunta Starego o zwycięstwie pod Gwoźdźcem, gdy otrzymał wiadomość, że moldawianie przekroczyli granicę i ponad 18 tysięcy wojska i 50 dział idzie prosto na Obertyn.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem do Obertyna przybyło około 10 tys. moldawskich palcuri. Reszta z Piotrem Raryszem ciągnęła z tyłu.

Teren obozu polskiego nie nadawał się do przyjęcia bitwy, dlatego Tarnowski przerzucił obóz na wzgórze „359”, 2 km za Obertynem w stronę Chocimierza.

Był to najwyższy punkt w okolicy, las od strony północno-zachodniej (to mogło pomóc w odwrocie), wzgórze to dawało możliwość dobrej szarży husarii.

Hetman nakazał utworzyć obóz z wozów. Spinano je koło za koło: przednie koło jednego wozu wiązano łańcuchami z tylnym kołem wozu poprzedniego (koła prawe wiązane były z lewymi). W ten sposób łatwo było przejść z szyku marszowego w szyk taborowy i odwrotnie w razie zwijania taboru.



Fot. M. Gawel

Konie zostały wyprężone i umieszczone wewnątrz taboru. Utworzono obóz 350 na 220 metrów, z otwartym narożnikiem południowo-wschodnim w stronę Obertyna, gdzie ustawiono 12 dział. A więc hetman postanowił stoczyć bitwę pomimo przytłaczającej siły wroga. „Tutaj pobiję nieprzyjaciela lub mężnie zginę.” – wołał Tamowski do zalekniomych dowódców.

A wróg był tuż, tuż. Nocą Mołdawianie podpalili zabudowania Obertyna. W nocy przybył gospodarz z resztą wojska.

22 sierpnia przed 470 laty, około godziny 9.00 rozpoczęła się bitwa. Do ciągnących od Obertyna wojsk małopolskich otwarto ogień z 12 dział. Nie robiły wielkiej szkody (jedno działo oddawało strzał co 10 minut). Większą szkodę czyniły działa mołdawskie, których było 50. Pojedynek artyleryjski trwał blisko dwie godziny i ogień stawał się coraz skuteczniejszy.

Tamowski nie chciał jednak zaczynać ataku. Czekał aż nieprzyjaciel rozciągnie działa lub zaatakuje, ale gospodarz czekał. Koło południa Raresz myśląc, że Tamowski boi się ataku i chce wycofać wojska pod osłoną nocy postanowił obstawić drogę na Chocimierz i okrążył południowo-zachodnią stronę taboru, szukając najsłabszego punktu.

Wtedy Tamowski zdecydował się sprowokować walkę przy północno-zachodniej ścianie taboru i tam pchnął do walki hufiec piechoty, aby mołdawianie jeszcze bardziej się rozciągnęli. Rzeczywiście Raresz skierował w tym kierunku blisko 3 tysiące jazdy.

Salwa z 425 rusznic zachwiała natarciem. Oddział mołdawski zaczął się mieszać. Wtedy gospodarz przesunął nowe oddziały w kierunku północno-zachodnim, myśląc, że Tamowski chce uciekać w stronę Chocimierza.

Tymczasem chorągiew Balickiego, złożona przeważnie z Rusinów, runęła przez tylną ścianę taboru na około 3 tysiące jazdy mołdawskiej. Rozgorzała zażarta walka. Rozbito pierwszą z czterech chorągwi mołdawskich, ale reszta się nie cofnęła. Chorągiew Balickiego osłabła i po udanym zwrocie cofnęła się.

W książce pt. „Obertyn 1531” p. Marek Plewczyński tak pisze o tej szarzy hufu wolnego:

„Jezdząc po pochyłości wzgórza 359 chorągwie stopniowo nabierali rozpędu pędząc ku nieprzyjacielowi. Po chwili potężna masa kopii wbiła się w szyki nieprzyjacielskie, zwała ludzi z koni, zadawała rany, przebijała broje. Lekkozbrojne mołdawskie pulcuri, usiłujące stać czoło, nie wytrzymały impetu ataku i runęły do ucieczki...”

Uderzenie hufu walnego rozbiło lewe skrzydło mołdawskie i zdecydowało o zwycięstwie polskim. Raresz próbował opanować sytuację, ale jemu to się nie udało. Bitwa była rozstrzygnięta.

Nierozbite mołdawskie centrum rzuciło się w paniczną ucieczkę w kierunku Obertyna. Gospodarz nie potrafił opanować paniki i sam ratował się ucieczką w stronę Obertyna i Bałacharówki. Trzeba było sforsować Krwawy Potok nazwany tak od czasu obertyńskiej bitwy, a później bagna Solońca, które stały na drodze. Tutaj nastąpiła straszliwa rzeź, dwukrotnie został raniony gospodarz Piotr.

Armia mołdawska była rozbita. Tamowski dał sygnał do przerwania pogoni. Walki ustały. Była godzina 14.00, bitwa trwała 5 godzin. Wielu spośród tych, którzy zdołali ująć i błękali się teraz po okolicy padło z rąk chłopów.

Grzebiąc poległych u stóp wzgórza 359 Polacy liczyli trupy mołdawskie. Wokół taboru naliczyli ich 2746. W ucieczce (wg Stanisława Górskiego) poległo około 2000, a w bagnach potopiło się około 3000, w sumie blisko 8 tysięcy ofiar. Około tysiąca dostało się do niewoli, wśród nich wybitne osobistości mołdawskie. Zdobyto wszystkie działa.

W armii hetmana poległo od 500 do 600 osób.

Krwawe to było zwycięstwo. Zdecydowała o nim wyższość polskiej sztuki wojennej nad mołdawską i talent przywódczy hetmana.

Wiadomość o zwycięstwie pod Obertynem dotarła do Krakowa 28 sierpnia. Natomiast hetman Tamowski z powodu niepokojów granicznych musiał zatrzymać się na Pokuciu.

Dopiero 7 listopada odbył tryumfalny wjazd do Krakowa. Przed zwycięzcą prowadzono zdobyczne działa i znacznych jeńców. Niesiono mołdawskie sztandary. Działa umieszczono na Wawelu, a sztandary umieszczono pod grobem św. Stanisława w Katedrze.

Pomimo Wiktorii Obertyńskiej jeszcze przez parę lat trwały niepokoje na granicy z Mołdawią, ale wreszcie następca zdeponowanego Piotra Raresza, Stefan VI (Lacusta), zrzekł się pretensji mołdawskich do Pokucia i 1540 roku zawarł z królem Zygmuntem Starym traktat o przyjaźni.”

Był upalny dzień, przyszło i przyjechało z okolic sporo ludzi odświętnie ubranych, wszyscy z kwiatami. Modlitwy i śpiewy w 2-ch językach płynęły daleko w rozległą równinę na Chocimierz i na widniejące w oddali zabudowania Obertyna.

Po uroczystym odsłonięciu tablic (druga współczesna w języku ukraińskim) i poświęceniu krzyża przez 6 księży w 2-ch obrzędach wysłuchaliśmy przemówień:

Konsul polski J. Dębicki podkreślił doniosłość chwili i wspólną przeplatającą się historię naszych narodów. W dążeniach do unijnej Europy są ważne takie pojednania i uczczenie rocznic historycznych wspólnych zwycięskich bitew.

Prof. R. Brykowski zaznaczył ze wzruszeniem, że jako syn z kości i krwi tej ziemi pokuckiej cieszy się bardzo z uczczenia pamięci wspólnie tu poległych Rusinów i Polaków, którzy pod wodzą wielkiego hetmana koronnego Jana Tamowskiego przeciwstawili się przeważającym 3-krotnie siłom Mołdawian pod wodzą Gospodara Piotra Raresza i wygrali wspólną bitwę we wspólnej sprawie.



Obertyn – poświęcenie i odsłonięcie tablic. Fot. M. Gawel
Od prawej: Mieczysław Gawel – sponsor, Danuta Tabińska-Juhasz, Natalia Tomyn

W 1532 roku odlano dzwon Zygmunta z 50 dział zdobytych pod Obertynem. Były tu 2 kurhany, ale ostatnie wypadki dziejowe zniszczyły krzyże i jeden kurhan znikł.

Od 1540 roku, gdzie następca Hospodara Raresza złożył hołd królowi polskiemu Zygmunтови Staremu, nigdy więcej Moldawia nie rościła sobie pretensji do pięknych i żyznych ziem Pokucia.

Swoje przemówienie zakończył słowami naszych hymnów narodowych: „Szczę ne umerła Ukraina” i „Jeszcze Polska nie zginęła”!

Przemawiali również księża. Zapamiętałam wypowiedź diakona grekokatolickiego. Mówił, że dzięki świętemu wojsku, które uratowało przed laty ziemię pokucką, możemy teraz uczyć się pracować, uczyć się miłości i pokoju. Zakończył „Naj żywe naród polski i ukraiński”!

Najbardziej wzruszająca na zakończenie była wypowiedź Natalii Tomyn, która w języku polskim i ukraińskim dziękowała Bogu, że dożyła dzisiejszego dnia, który jest ukoronowaniem jej 10-letnich starań i walki o ten kurhan. Pisała wszędzie do Kijowa, Lwowa, do Krakowa

na Wawel i czekała, i wierzyła, że przyjdą takie czasy, że te jej starania staną się rzeczywistością. Dziękujemy Ci Natalio za Twoje działania, wiarę i cierpliwość.

W samym środku Obertyna jest ładny park, a w nim estrada i ławeczki dla publiczności. Tu wśród starych drzew odbyło się zakończenie uroczystości występami artystycznymi dzieci i młodzieży z Obertyna i Kolomyi.

Przemawiali jeszcze gospodarze miasta i powiatu Tłumacz. Wręczyłam Panu Romanowi Kaszunowi nasze dwa „Zeszyty Tłumackie” ku wielkiemu jego zdziwieniu i zachwycie. Obiecał wysłać nam książkę o Tłumaczu wydaną przez władze w 1998 r. Dotychczas jednak nie dotarła. Mam nadzieję, że zdobędę ją przy okazji wyjazdu z pomocą charytatywną na Święta Bożego Narodzenia.

ad. 3) Wrażenia z uroczystości 260 rocznicy F. Karpińskiego odkładam do następnego numeru, tym bardziej, że często ten temat gościł na łamach naszych Zeszytów. (c.d.n.)

List z Izraela – III



To obraz miasta, które od podstaw wybudowali Żydzi. Budowle, przeważnie hotele – wzdłuż brzegu morza Śródziemnego – różnicowana, ambitna architektura. Świetne wykończenie wraz z otaczającym terenem. Raman-Gam, gdzie mieszkamy, nie jest tu widoczny.

Serdeczne pozdrowienia dla Tłumaczan.

Kornelia Szankowska

Lista Ofiarodawców za IV kw. 2001 r. (w zł)

- | | | | |
|---------------------------------------|-------|-------------------------------------|-------|
| 1. Jadwiga Szczepińska, Puławy | 12.- | 7. Karol Zawadi, Izrael | 100.- |
| 2. Janina Stybel, Wrocław | 12.- | 8. Stanisław Janicki, Wschowa | 10.- |
| 3. Jan Jonson, Nysa | 8.- | 9. Wanda Fedorowicz, USA | 45,40 |
| 4. Jan Wojtowicz, Nowa Sól | 10.- | 10. Julian Petrus, Rzeszów | 62.- |
| 5. Henryk Woroszczuk, Lubin | 62.- | 11. Janina Reich, Warszawa | 82.- |
| 6. Michał Nikosiewicz, Warszawa | 162.- | | |

Wszystkim Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Komunikaty, podziękowania

Komunikaty

W nawiązaniu do zawiadomienia o opłatku informujemy, że tak jak sygnalizowaliśmy w ostatnim numerze *Zeszytów*, spotkanie „Opłatkowe” odbędzie się w dniu 16 stycznia o godz. 13.00, tylko nie w restauracji „Śnieżka”, lecz tak jak w ubiegłym roku w restauracji „Bankowa” przy ul. Dąbrowskiego 44. Spotkanie poprzedzi msza w kościele św. Doroty przy ul. Świdnickiej (obok Opery, o godz. 11.00, tam gdzie znajdują się nasze tablice). Ze względów organizacyjnych prosimy o pisemne zgłoszenie udziału w terminie do dnia 12 stycznia 2002 na adres:

Jerzy Czyżycki, ul. Przyjaźni 77 m. 3, 53-030 Wrocław. Wpłaty w wys. 15 zł. na miejscu.

Zarząd

Serdecznie przepraszamy naszych Czytelników za znaczne opóźnienie wydania kwartalnika *ZT* nr 3 (23), które nastąpiło z przyczyn technicznych.

Prenumeratorki „Zeszytów Tłumackich”, którzy zmieniają miejsce zamieszkania, proszeni są o niezwłoczne powiadomienie Redakcji o nowym adresie. Zwroty *ZT* i ponowna ich wysyłka powodują bowiem niepotrzebne dodatkowe koszty.

Zarząd

Uzupełnienie do art. „Wspomnienie z tłumackiej stacji” z *ZT* nr 3 (23) str. 1. Pani Zofia Tuzinkiewicz wstąpiła do Armii gen. W. Andersa, w której służyła jako konwojent sanitarek (patrz *ZT* nr 4/96 – wywiad z Tłumaczaninem z Anglii). Po wojnie z dwoma synami osiedliła się w Anglii.

Redakcja

Dziękujemy autorom

Mija właśnie 6 lat od ukazania się pierwszego numeru „Zeszytów Tłumackich”. Kwartalnik nasz mógł ukazywać się przez cały ten czas dzięki materiałom zgromadzonym przez dr. Michała Nikosiewicza oraz licznym artykułom wspomnieniowym, nadsyłanym przez naszych Drogich Krajanów rozsianych w całej Polsce, jak też za granicą.

Z tej okazji składamy wszystkim autorom serdeczne podziękowania oraz gorąco zachęcamy do dalszej współpracy z nami. Oczekujemy dalszych artykułów wspomnieniowych, materiałów ikonograficznych, pamiętników, map, wierszy itp. związanych z naszymi stronami.

Pozdrawiamy, dziękujemy, czekamy!

Redakcja

† ODESZLI

Antonina Sawicka



W wieku 83 lat zmarła dr Antonina Sawicka, wieloletni nauczyciel akademicki Uniwersytetu Opolskiego, zasłużony wychowawca kilku pokoleń studentów, długoletni redaktor *Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych* w Warszawie. Urodziła się w 1917 roku w Charkowie, ukończyła Seminarium Nauczycielskie Towarzystwa Nauczania Chrześcijańskiego w Tłumaczu, pracę doktorską obroniła w WSP w Opolu, w której od 1982 roku zatrudniona była w Instytucie Pedagogiki Wczesnoszkolnej, a następnie w Instytucie Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu Opolskiego. Prowadziła wykłady z pedagogiki przedszkolnej, z tej też tematyki wykształciła kilkudziesięciu magistrów. Posiada znaczny dorobek naukowy, obejmujący kilka książek oraz ponad 200 artykułów, ogłoszonych drukiem w krajowych i zagranicznych czasopismach pedagogicznych. Przez ponad 20 lat kierowała redakcją czasopisma „Wychowanie w Przedszkolu”. Uhonorowana Krzyżem Kawalerskim OOP i Medalem KEN. Zgonie z decyzją kie-

rownictwa uczelni, jedna z sal dydaktycznych Collegium Paedagogicum otrzymała imię dr Antoniny Sawickiej.

Franciszek Kosma

(Przedruk z „Trybuny Opolskiej”)

Tłumaczanie pamiętają Ją jako **Tońcię Czoharzanę**, działającą w harcerstwie żeńskim w Tłumaczu. Jako hufcowa organizowała zastępy „Zuchów” noszące nazwy kwiatów polnych. Przewodniczyła delegacji harcererek i zuchów na Zjazd Harcerstwa Polskiego we Lwowie w 1938 roku. Od najwcześniejszych lat umiała skupiać wokół siebie młodzież i maluchy wpajając im wzniosłe ideały harcerskie, które pamiętamy dotychczas.

Żegnaj Tońciu!

Czuwaj!

Tłumackie Harcerki i Zuchy

Zmarli Tłumaczanie

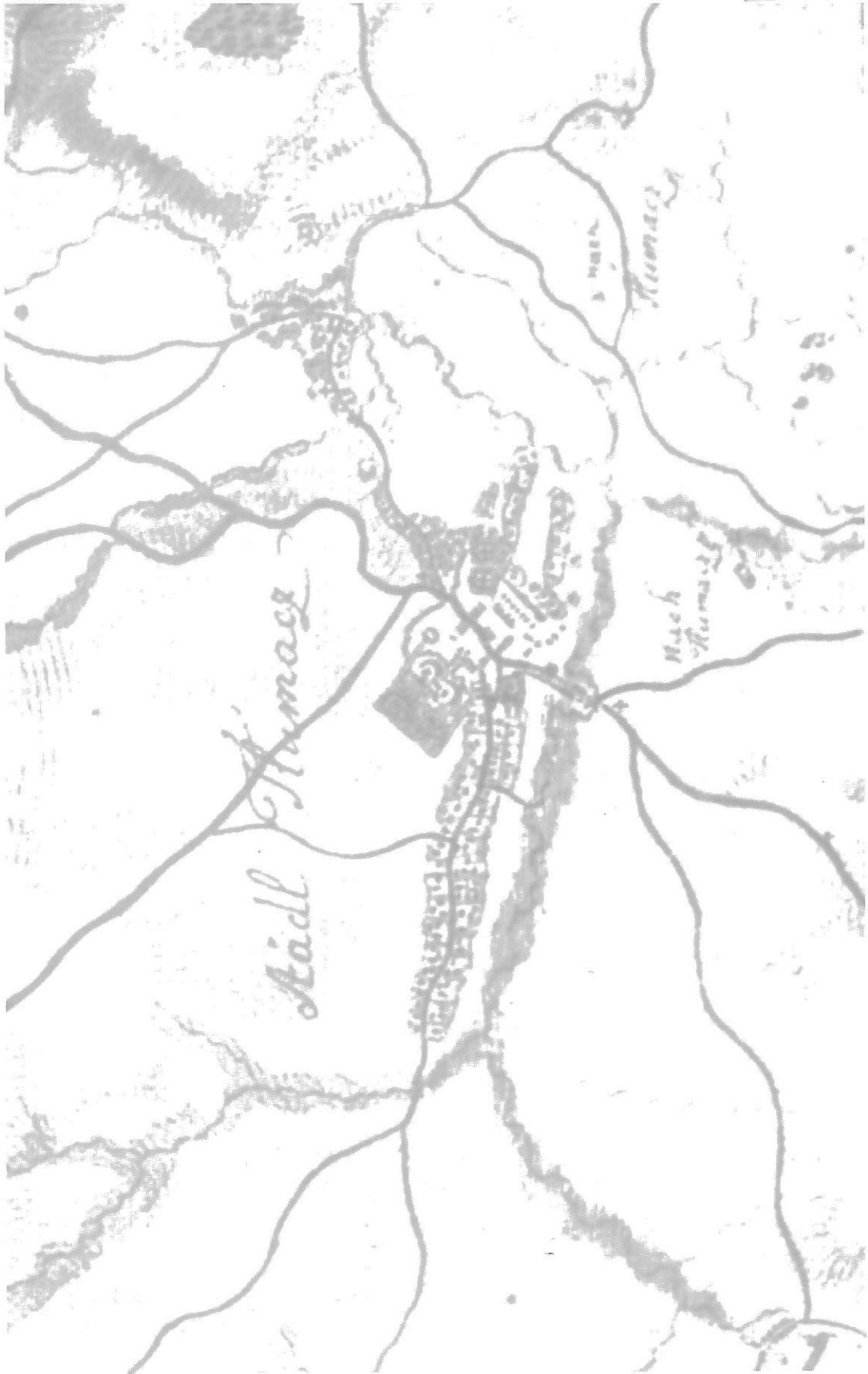
Ks. Jan Lisowski ur. 4.06. 1914 w Tłumaczu odszedł 25. 10. 2001 r. w S/CX CITY, JOVA, USA.

Zmarła 11. 10. 2001 r. **Janina Kalinowska-Milczewska** z domu Miler zamieszkała w Kondratowej k. Nysy. Cześć Ich pamięci.

Tłumaczanie

0SS 11249

4-001



Mapa Austriacka (ręcznie malowana) lata 1779 - 1782